Świat dziewcząt



Nr 13

50 Gr

KRÜGER
SAWICKI

Rok I. Warszawa, dnia 1 maja 1933 r. Nr. 13



BITWA MATURALNA

Generalna próba sił, a zarazem loterja szczęścia, jaką jest bezwarunkowo egzamin maturalny, jest rzeczywiście ważną chwilą dla każdego.

Bez względu jednak, jak chwilowo stoi ten papier na giełdzie umysłowej społeczeństwa, większość zdobywających go, płaci zań stanowczo zbyt wielkim wysiłkiem. Prócz pracy bowiem, jaka jest potrzebna do przygotowania się, dużo zmęczenia kosztuje wszystkich maturzystów, przezwyciężenie tego nastroju zbiorowej paniki, jaka corocznie ogarnia młodzież, dopuszczoną do egzaminów.

Niestety, wszystko się składa na wytwarzanie tego nastroju paniki, a prawie nikt nie myśli o tem, żeby jej przeciwdziałać.

Dużo do tego mogliby się przyczynić rodzice i wychowawcy, gdyby sami nie ulegali ogólnemu transowi (a przeważnie ulegają mu, dolewając jeszcze oliwy do ognia), ale ponieważ w gruncie rzeczy nikt nie może myśleć i opanować się za kogoś innego, więc klucz do opanowania sytuacji leży w rękach młodzieży, która jest najbardziej w tej sprawie zainteresowana.

Prawdopodobnie wiele Czytelniczek, drżących przed maturą, powie w tem miejscu: „łatwo jej pisać, kiedy sama nie zdaje".

Otóż zastrzegam, że piszę nie dlatego, że jestem już dawno po maturze i jako dorosła, patrzę na to spokojnie i bez wzruszeń, ale dlatego, że gdy byłam w szkole, przeprowadzałam z zapałem różne doświadczenia psychologiczne, traktując siebie, jako materjał doświadczalny, i między innemi, zajmowałam się zagadnieniem, czy i jak można przezwyciężyć strach przed egzaminami. Osobiście stwierdziłam, że można.

Znowuż muszę zastrzec, że nie łudzę się, iż wynalazłam jedyną niezawodną receptę, jak się przygotowywać do egzaminów, aby nie mieć tremy i zdać napewno. Recepta musi być inna dla każdego ,ale cały dowcip polega na tem, aby chcieć ją znaleźć, zamiast bezwolnie poddać się fałom paniki.

Zacznijmy od zdania sobie sprawy, na czem polega przygotowanie do egzaminu.

Przez całe lata słuchaliśmy wykładów, które każdy profesor prowadził swoją metodą. Napewno nikt nie zapamiętał wszystkich szczegółów, jakie w ciągu nauki od profesora usłyszał, czyli, że powtórzyć to sobie jakoś trzeba. Zagadnienie sprowadza się więc do tego, że w ciągu krótkiego czasu, przeznaczonego na przygotowanie do egzaminów, kiedy jesteśmy pozostawieni własnym siłom, trzeba znaleźć własną metodę uczenia się. Metoda, jaką profesor prowadził wykłady, a uczniowie przygotowywali się, była obliczona na rok — teraz czasu jest kilka dni, trzeba się uczyć *inaczej*.

Trzeba sobie znaleźć metodę, odpowiednią dla siebie i trochę inną dla każdego przedmiotu.

Mam wrażenie z obserwacji szkolnych (robionych nie z katedry, ale jeszcze z ławki), że większość uczniów popełnia jeden błąd metodyczny: zanadto polegają na swojej pamięci, za mało rozumują. Dlatego, gdy podczas odpowiedzi zapomną jednego szczegółu, gubią się zupełnie i zaczynają pleść zupełnie nielogicznie. Zauważyłam to już w piątej klasie i zaczęłam w każdym przedmiocie doszukiwać się szkieletu, dającego się ująć rozumowo, na którym dopiero można umieszczać w odpowiednich miejscach fakty i szczególiki. Matką tego wynalazku było lenistwo, gdyż ta metoda bardzo ułatwiała mi pamięciową pracę.

Już w szóstej klasie przy wzorach chemicznych, przekonałam się, że była bardzo wygodna ,dlatego zostałam przy niej do końca szkoły z egzaminami maturalnemi włącznie. Nie jest to zupełnie nic nowego, ale tego wynalazku *musi każdy sam dokonać*, tak, jakby go nikt przedtem nie wiedział. Kto go dokonał wcześniej, ten naturalnie ma łatwiejsze zadanie, ale nawet przed ostatecznemi egzaminami nie jest zapóźno.

Trzeba zawsze starać się zrozumieć zasadę w każdym przedmiocie i zagadnieniu, a rozumując według niej, rozwiążemy każdy zadany przykład. Jeśli bowiem postaramy się zapamiętać 100 przykładów, na nic się to nam nie przyda, jeśli zadadzą nam 101-sze pytanie.

Nie zapamiętać, ale zrozumieć — oto naczelna zasada, którą musimy z konieczności przyjąć, gdy zdani na własne siły, stajemy wobec dużego materjału do przerobienia.

Następne zadanie — to wynajdywanie najwygodniejszych dla siebie sposobów zapamiętywania (mnemotechnicznych). Tu już wprost nie można dawać rad — zadużo jest tych sposobów, zresztą każdy instynktownie umie je znaleźć.

A teraz trochę o nastawieniu psychicznem. Wrogiem naszym jest jedno pytanie: co będzie, jeśli się zetnę? Otóż nic nie będzie, nawet dziury w niebie. Choćby niewiadomo jak, ceniono papierowe świadectwo, człowiek, który coś będzie umiał dobrze robić, znajdzie odpowiednią ocenę i stanowisko w życiu, a fach, nawet bez matury można zdobyć zawsze. Dodam jeszcze, że umiejętność myślenia, nawet bez matury, dopomoże w życiu wiele więcej, niż matura bez tej umiejętności.

Następnie trzeba uprzytomnić sobie, że jeśli życie jest walką o byt, to matura jest tylko jedną z bitew i wcale nie decydującą. Jedna bitwa nigdy nie decyduje o zwycięstwie. Można we wszystkich bitwach zwyciężyć i wojnę przegrać, a można zwyciężyć, mimo szeregu porażek. Można sobie obmyślać sposoby wybrnięcia z sytuacji, gdy nie czujemy się na siłach do zdania matury, ale nie można uważać, że to jest jedyna barjera, chroniąca nas od przepaści bez dna.

Każdy obecnie zna emocje przed zawodami sportowemi. Czyż ktokolwiek przystępuje do zawodów, zgóry przypuszczając przegraną? Nikt o tem nie myśli, bo każdy zawsze chce zwyciężyć, dlaczego więc w zawodach maturalnych mamy zajmować inne stanowisko. Powiecie może, że do zawodów każdy staje w tej konkurencji, która mu najlepiej odpowiada, a matura jest dla wszystkich jednakowa. To prawda, ale przypomnijcie sobie inny wypadek ze sportu. Słabszy stosunkowo zawodnik, który mimo, że go inni prześcignęli, stara się dać maksimum wysiłku i osiągnąć jak najlepszy wynik dla siebie — budzi ogólną sympatję, i zyskuje sobie opinję prawdziwego sportowca. Zawodnik, który wycofuje się dobrowolnie, gdy widzi, że nie będzie na czele — schodzi z bieżni wśród gwizdania. Człowiek, poddający się, nigdzie nie budzi sympatji ani uznania, a poddał się z chwilą, gdy dopuścił do siebie myśl o przegranej — osłabił tem swoją odporność psychiczną — niema już woli zwycięstwa, zdał wszystko na los szczęścia. Może wygra, ale napewno nie zwycięży.

Z chwilą, gdy uda nam się temu nastrojowi: „Boże, co to będzie, jeżeli...?" spojrzeć w oczy i powiedzieć: „przepraszam, ale dlaczego...", słowem, wtedy, gdy zażądamy, aby jakiemiś logicznemi argumentami uzasadnił swoją pretensję do zawładnięcia nami — okazuje się, że to nie zmora, ale strach na wróble. I wtedy w atmosferę egzaminów wsiąka sportowy nastrój — walki i zwycięstwa. I to nie zwycięstwa w sztucznych warunkach i ustanowionych regułach sportu, ale dzieje się coś takiego, jakby z dziecinnych lat zapamiętana walka z indjanami nagle stała się prawdą. To już prawdziwa bitwa życiowa, pierwsza walka na polu pracy umysłowej — ale gdyśmy podeszli do niej od strony sportu, niema

już westchnienia: „co będzie“... jest tylko okrzyk: „nie dam się“.

A teraz od tych rozważań teoretyczno-psychologicznych wróćmy do praktycznej strony życia podczas egzaminów.

Trzeba sobie przyznać otwarcie, że każdy człowiek w sytuacjach życiowych, które, choć trochę romantyczniej wyglądają, lubi się zgrywać dla galerji. A jeśli galerji nie można zaimponować, to choć przed sobą przyjemnie jest grać rolę bohatera. Otóż mam wrażenie, że siedzenie po nocach, czarna kawa, walerjana i brom, są bardziej potrzebne do tego pasowania się na bohatera chwili, niż rzeczywiście do egzaminów. Co do bromu, to szczególnie radzę ostrożność, dlatego, że działa on oszałamiająco i przytępia władze umysłowe. Są również ludzie, których brom właśnie drażni, a nie uspokaja. Kto chce koniecznie coś łykać, niech już łyka phytinę albo syrop Kola, to ii podnieca i wzmacnia. Kto chce koniecznie zarywać noce, niech sprobuje dla oryginalności zarywać je z drugiej strony: zasypiać o dziewiątej, a wstawać do nauki o 6-ej czy 5-ej. To napewno zdrowiej, a ilość godzin można uzyskać tę samą. Cóż, kiedy owczy pęd działa w innym kierunku.

Ponieważ jednak, gdy się ma 18 lat, ma się najwięcej sił psychicznych i skłonności do ryzyka (tylko niestety, mało samodzielności), więc może kogoś skuszę na moją oryginalną metodę — wcale nie jest trudna. Trzeba jeszcze do niej dodać obowiązkowy spacer wczesnym rankiem, i o ile kto umie, uczenie się na świeżem powietrzu.

J. Prażmowska.

CÓRKA MANDARYNA

Uwolniwszy się od pantofli, które łatwo opuściły jej stopy, a zatrzymały się na macie, Mey-Vong usiadła na tapczanie z czerwonej laki w złoty deseń, powinąwszy nogi pod siebie, jak to czyni Budda na swych posągach. Ulokowała się obok przyjaciółki, od dłuższej już chwili zajmującej tę samą pozycję. Wzięła do ręki talję kart, rozdawała zręcznie, połowę sobie, a połowę jej. Ponad zwykłą miarę długie, wąskie i bardzo kolorowe tekturki ułożyła w wachlarz, wedle kolei jakiejś tajemniczej chińskiej gry. Potem po jednej wykładała na wolną przestrzeń tapczana, ozdobionego pięknemi dekoracjami, czasem zakrywała błyszczącego złotem lwa, a czasem strasznego smoka. Pobijała, zdobycz wcielała do swego wachlarza, albo też musiała wszystko oddać towarzyszce, której szczęście dziś sprzyjało. Potem skoro już w jednej ręce nic nie było, tasowało się całą talję i znów na pół dzieliło. Ten rodzaj gry — może chiński duren? — trwał dość długo, póki pokój nie zaludnił się nowemi osobami.

Pierwszy wszedł sędziwy ojciec w złotolitej szacie, z długą mandaryńską brodą, co do której europejczycy zawsze mają wątpliwości — prawdziwa czy sztuczna? Nawet kino, ujawniające przecież największe prawdy, nie jest w stanie zdradzić tej prawdy. Usiadł na niskim fotelu z laki, bogatym w różne ozdoby, za chwilę zjawił się jego przyjaciel i cowieczorny towarzysz od szachów ze swoim synem, który tu odbywał studja. Hanoi posiada jedyny w Indjach Zagangesowych u n i w e r s y t e t, gdzie obok białych uczonych, dla żółtych studentów też wykładają żółci uczeni. Znając — z czytania — obyczaje europejskie, w rozmowie używał odwiecznych form towarzyskich — chińskich. Zbliżył się do panienek z uprzejmem zapytaniem:

— Jak się macie, moje bardzo stare ciotki?

Odpowiedziały, s t o s o w n i e do reguł miejscowego, dobrego tonu:

— Doskonale, mój szanowny dziadzie!





Fot. Kodak.

Przytem ich żółte, dla zewnętrznych wrażeń hermetycznie zamknięte twarze, nie zdradzały żadnych uczuć. Nie zdradzały nawet młodości. Ledwie patrzyli na siebie szparkami swych szczurzych, wąsko otwartych oczu.

Student odszedł do panów, śledził losy partji szachów, rozgrywającej się między gospodarzem a gościem. Albowiem mężczyźni, osobno zgrupowani, wybrali szachy, piękne szachy, z drogocennego drzewa *tek*, inkrustowane masą perłową, lub z kości słoniowej. Figurki króla i królowej były małemi portretami bohaterów z teatru annamickiego, laufer zaś miał puklerz, szablę i kapelusz, bardzo misternie i cierpliwie wyrobione. Gdyby nagle stał się wielkim i żywym, nie brakłoby mu żadnych atrybutów walecznego rycerza.



Fot. Kodak.

Pod niskim sufitem wisiał dym, tworząc coraz gęstszą zasłonę. Wszyscy palili. Mężczyźni, kobiety, dzieci też. Przybiegł synek gospodarza, w liść tytoniu zawijał posiekany tytoń i smalił jak komin.

Całe towarzystwo obok herbaty piło *szum - szum*, wódkę pędzoną z ryżu. Nie jest ona tak bardzo szkodliwa, jak inne używane tu narkotyki, przedewszystkiem opium, z którem obecnie walczą nietylko Europejczycy, lecz i miejscowi patrjoci, dbali o dobro narodu. W żadnym jednak razie pożyteczną dla zdrowia być nie może i jej też walkę wypowiedziano. Tymczasem jeszcze piją *szum - szum*, nawet w domu zacnego mandaryna.

Po skończonej zabawie wszyscy udali się do kaplicy, przed domowy ołtarz, czci przodków poświęcony. Należą się im pośmiertne honory, gdyż inaczej dusza błądzić będzie i spokoju nigdy nie zazna. Co wieczór składa się manom objatę z ryżu i owoców, aby gdy w nocy dom nawiedzą, na niegościnność i głód skarżyć się nie mogły. W kapliczce, w różnokolorowych lampjonach, paliły się żarówki, ściany zawieszone były zwijającemi się i rozwijającemi papierami, na których malarz rozsiał obrazki i litery, jak dekoracyjne obrazki.

Nazajutrz rano Mey-Vong bardzo się śpieszyła, szła bowiem na drugi koniec miasta, do szkoły przy misji dominikańskiej. Nie była chrześcijanką, ale cóż to szkodzi, skoro księża nie mieli nic przeciw temu, żeby córka mandaryna w ich zakładzie pobierała nauki? Ona zaś mówiła, że skoro dorośnie, gdy będzie od niej tylko zależało, to zmieni religję.

Szkoła była wzorem zbratania się miejscowej ludności z cywilizacją europejską, za pośrednictwem najmłodszego pokolenia. W żłobku dla niemowląt, wśród białej pościeli, spały w czyściutkich białych łóżeczkach, jedne koło drugich, żółte laleczki. Starsze dzieci uczyły się rzemiosł. Dziewczęta robiły koronki i tkały materje, chłopcy doskonalili się w garncarstwie i koszykarstwie. Ponieważ wśród Ojców Misjonarzy wielu jest tonkińczyków i oni to opiekują się dziećmi, zostały zachowane miejscowe stro-

je i obyczaje, o ile nie są w sprzeczności z wymaganiami religji. To też przy jedzeniu, wszyscy siedzieli na matach, z podwiniętemi pod siebie nogami i pałeczkami, jak przystoi, brali z małych miseczek ryż, przyrządzony narodowym sposobem. Siedzą naprzeciw siebie, więc jakby przy stole! O ile się tylko da, pracują na świeżem powietrzu, lub pod krużgankiem, który znaleźćby się mógł w każdym europejskim klasztorze. Żółci ojcowie pilnują pracy, lub przechadzając się pod kolumnami, odmawiają brewiarz.

Po skończonym dniu nauki Mey-Vong powoli wracała do domu. Matka dała jej kilka zleceń, więc udała się w stronę starego miasta. Najpierw szła brzegiem jeziora, położonego w środku Hanoi, przyjrzała się kwiaciarniom, które je otaczają, a potem weszła w dzielnicę, od wieków się nie zmieniającą, chodziła wąskiemi uliczkami, z obu stron których są sklepy. Ciągną się one w jednej linji, razem, albowiem połączone są ze sobą zewnętrzną ścianą tych małych domków, przeważnie składających się z parteru i nadbudówki z wygiętym dachem.

Trochę wyższe, trochę niższe, tak bardzo stapiają się w całość, iż w pierwszej chwili nie rozpoznasz, gdzie kończy się jedna posesja, a zaczyna druga. W podziemiu jest piwnica, na dole warsztat i sklep, na górze mieszkanie. Nieraz parter ma tylko 3,5 metra długości, 90 cm. szerokości, a na tej przestrzeni pracuje trzech ludzi! Górna część często bywa jeszcze mniejsza! Ale każdy prawie tonkińczyk mieszkać tu musi, zbliska roztaczać pieczę nad swem dobrem. Pracowitość jego, wytrwałość i zapobiegliwość idzie w parze z nieufnością.

Chodząc po takich uliczkach, po ulicy Jedwabiu, Wekslarzy, Medykamentów czy Żagli, chodzi się właściwie pod szyldami. Nie są to na deskach czy blachach przybite napisy, ale zawieszone w powietrzu emblematy. Oto za ogon uchwycony smok huśta się w przestrzeni, oto ryba pływa w powietrzu, chyba poplątana z algą, bo kształt jej jest bardzo fantastyczny. Choć w Chińskim Morzu gorsze jeszcze potwory pewno się znajdują. Złota świnka, ulubione dla swego mięsa zwierzę, jest już utuczona na zarżnięcie.



Mey-Vong — córka Mandaryna.

Wszystko jest tu bardzo dawne, z przed wieków, skądże na niebieskiem tle żółte T. S. F.?

Córkę mandaryna jednak to nie dziwi, od dzieciństwa przyzwyczaiła się do tego widoku.

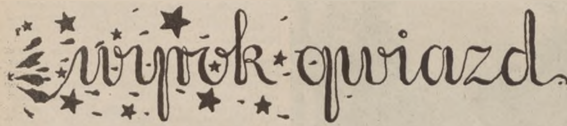
Przez otwarte drzwi, raczej z braku czwartej ściany, widać co się wewnątrz sklepiku dzieje. Pochyleni nad warsztatem rzemieślnicy pracują pilnie, posługując się narzędziami z bardzo dawnych czasów. A wszystko umieją zrobić bardzo dobrze, często nawet o wiele lepiej, niż europejczycy.

Jeden małemi, bardzo zręcznemi palcami, w twardej kości słoniowej wyrzyna klasyczną walkę białej małpy z czarną małpą, drugi na tacy, pokrytej czerwoną laką buduje złotą pagodę, trzeci z kła słonia wyrabia dziewięć słoni, przynoszących szczęście. Malutkiego na końcu, tam gdzie kieł jest najcieńszy. Większe, coraz większe, pną się w górę, aż ostatni, największy wpadu w udekorowaną licznemi zębami paszczę krokodyla, idącego z przeciwnej strony łuku.

W innych drzwiach widać kobietę, ubraną w ciemny kaftan, czarny kołacz na głowie, barwnemi niemi rozsypującą po drogim jedwabiu bardzo piękne kwiaty — które nigdzie nie rosną. Jej towarzyszka z za ściany wachlarze dla mandarynów robi: na tło białego pióra nakłada kawałki innych piór, różnokolorowych. Trzecia znów z rogu i szyldkretu wyrabia guzy. Mey-Vong marzy o posiadaniu takiego kramiku, gdzie pod jej dyrektywą inne dziewczęta snuć będą koronki — sławne na cały świat.

A może lepiej na Bulwarze Gia-Long otworzyć Salon Sztuki Stosowanej, jak to uczynili Bracia Hoen-Trong-Quy? Każe, jak oni rozdawać przechodniom na ładnej tekturce, po francusku drukowane ogłoszenie i firma jej też zwróci na siebie powszechną uwagę, dostanie honorową odznakę na jarmarku w Sajgonie, dyplom zasługi w Hanoi, srebrny medal na wystawie w Paryżu, gdzie będzie miała swój *stand*... Tylko że przed tem wiele jeszcze trzeba się nauczyć w szkole dominikańskich Misyj...

Aura Wyleżyńska.



Algebra tego dnia była niemożliwie nudna. Guga stwierdziła to po raz dwudziesty, patrząc regularnie co dwie sekundy na zegarek. Nigdy się to chyba nie skończy: $2xy - 7x$...

Guga ma stanowczo żal o to do wszystkich wynalazców. Ot, jakiś przyrządzik, nie upiera się nawet, żeby był ładny, pokręci się, pociśnie, nastawi jakiś silnik i już w ciągu kwadransa wiedza całoroczna jest w głowie.

Bo tkwić na przestrzeni sześćdziesięciu czterech (tak na oko) centymetrów kwadratowych, będąc ciągle narażoną na potrącenia sąsiadki z prawej strony i słuchać głupich dowcipów na temat profesorskiej czupryny, płynących z ławek dalszych, z tak zwanej „dzielnicy ciotek", to było stanowczo przerastające nerwy Gugi.

Z dziką pasją przycisnęła pióro, niby w celach naukowych, bo z zamiarem postawienia dwójki przy jakimś samotnym X-ie, aby go „ukwadratowić", ale zdrajca-pióro zawiodło, może atrament się zbuntował, czy papier zadrwił z tego bezsilnego buntu, bo pióro nagle potknęło się o jakieś niedokładności terenu papierowego i oto plama o dziwnych kształtach z punktami, które gdzieś daleko odskoczyły, jakby w przerażeniu, ozdobiła zeszyt.

A Guga roześmiała się cichutko, ot tak tylko, w duszy dla siebie. Bo, oto zdawało jej się, że któryś z duszków szkolnych przyszedł jej z pomocą. Teraz niech koleżanki rozwiązują wszystkie równania we wszystkich kwadratach i sześcianach świata, po nią zajechał najwspanialszy „wehikuł czasu" — wyobraźnia i ponosi ją szybciej, niż najszybszy samolot. Tak, właśnie, to te rozsypane kropki z atramentu zadecydowały o wszystkiem.

Te rozpryśnięte kropki atramentu — to eskadra lotnicza. Na pierwszym szybowcu leci ona — Guga. Prowadzi. Teraz już wszystko wie. Nie będzie nudnej algebry, przepadnie znienawidzona fizyka! Oto ona — Guga — otworzy nową szkołę. Szkołę powietrzną! Skończyły się już śmieszne czasy bezludnych wysp, teraz jest tylko bezludne powietrze. I Guga zakłada swe państwo powietrzne (jak to daleko pozostał samotny X.). Guga wie, że wynaleziono już taki metal, czy substancję, wydaje jej się, że to ma jakąś ładną nazwę, czy nie galalit? Więc właśnie z tego galalitu wybudują latającą wyspę powietrzną. Nikt się tam nie będzie mógł dostać. Między innemi jedną ultra-dobrą właściwość ma ten pyszny wynalazek: barwę ochronną — w chmurach wygląda jak chmura. To będzie wspaniale! Tam zamieszkają (poczta Chmury, powiat Powietrze, stacja Niewyzyskane Możliwości), tylko jeść... no tak, po żywność będą spadać na ziemię — prawie jak orły czy sępy. To dopiero będzie życie! Hurra!

Rano kąpiel w obłokach, potem przejażdżka awionetką, wyścigi z orłami, albo może piłka nożna — gwiazdami. Nie, to wieczorem. Gwiazdy w dzień nie nie widzą. Więc w dzień giganty na promieniach słońca. Wieczorem napiją się mleka z mlecznej drogi, przegryzą rogalikiem z księżyca na nowiu i będą spać wśród ozonu.

Ale na chwilę zbudzą się, by zobaczyć, jak walczą gwiazdy. Bo gwiazdy walczą: ciekawe zaglądają na ziemię, jedna zagląda przez ramię drugiej, czasem się potrącą i jedno z ramion gwiazdy odpada. Może tylko jego kawałeczek. Meteory (w języku tych z ziemi, co to tylko prozą żyją i równaniami).

One właśnie muszą wypatrzeć, jak się to dzieje. Może im się uda zobaczyć śmierć gwiazdy (Guga ma w sobie dużo poezji, tylko jakoś nikt tego nie chce uwzględnić, jako okoliczność łagodzącą przy twierdzeniach geometrycznych).

Tylko czy gwiazdy nie zbuntują się, że ktoś w ich przestrzeni międzyplanetarnej ośmiela się zakładać swe państwo?

Okrążą wtedy ich dom (przenikną gwiezdnym okiem barwę ochronną), otoczą lotnisko, awionetki. Zaczną wirować, wirować, gniewnie rzucać odłamkami złota, albo kłuć jasnemi promieniami. Może i księżyc przestanie się uśmiechać bladą twarzą, przygniecie swym ciężarem i wszystko runie w dół.

Jaki szum straszny! Wiruje wszystko... aaa...

Guga padła twarzą na ławkę, zasłaniając się ręką.

A właśnie dzwonek „marszałek szkolny" obwieszczał radosny moment ukończenia lekcji (tej nudnej algebry).

— Guga, co tobie, spadłaś z księżyca — drwiła sąsiadka, specjalistka od potrącania.

A Gudze brzmiał jeszcze w uszach okrutny wyrok:

— Nie masz prawa! Tu nasze państwo! My gwiazdy, a ty co? Gdzie masz paszport i wizy na pobyt w kraju gwiazd?

Guga spojrzała na koleżanki, które się zabierały do przegryzania rumianych rogalików.

— Muszę zdobyć prawo na pobyt wśród gwiazd. Muszę! Choćby mi przyszło rozwiązywać wszystkie równania kwadratowe i sześcienne wszystkich algebr świata! *Taka-a-taka.*

Nr. 1.

KONKURS LITERACKI ŚWIATA DZIEWCZĄT

Konkurs nasz polega na odgadnięciu z zamieszczonych w obecnych i w następnych trzech numerach, obrazków, utworów literackich i scen, które przedstawiają. Z każdego utworu podamy jedną scenę. Pod uwagę jest brana całość literatury polskiej od najdawniejszych czasów aż do obecnej epoki. Życzący sobie brać udział w naszym konkursie winni wyciąć kupony z napisem „Konkurs literacki Świata Dziewcząt", zamieszczone w bieżącym i następnych numerach i zachować je dla nadesłania wraz z rozwiązaniami do Redakcji Świata Dziewcząt. Rozwiązania bez kuponów — nieważne.

Udział w konkursie mogą brać zarówno czytelniczki, jak stałe prenumeratorki. Obrazki będą numerowane. Tekst rozwiązania musi brzmieć następująco:

Obrazek 1-szy — Scena . . . . . .
z utworu . . . . . .
autora . . . . . .
„ 2-gi — Scena . . . . . .
z utworu . . . . . .
autora . . . . . .
„ 3-ci — Scena . . . . . .
i t. p.

Do kartki z rozwiązaniem musi być dodana kopertka zaklejona z godłem wypisanem na niej, zawierająca imię,



nazwisko i adres nadsyłającej rozwiązanie. Rozwiązania + kopertki z godłem na wierzchu, a nazwiskiem i adresem w środku, muszą być włożone do większej koperty z napisem:

„1-szy Konkurs literacki Świata Dziewcząt".

Rozwiązania można nadsyłać dopiero od dnia 10-go czerwca r. b. t. znaczy po ukończeniu konkursu, do dnia 10-go lipca, czyli dany jest miesiąc na rozwiązanie. Ratami rozwiązań nadsyłać nie można.

Wrazie odgadnięcia nie wszystkich tekstów obrazkowych, można przysyłać niepełne rozwiązanie, t. zn. tylko odgadnięte obrazki.

Nagród będzie cztery.

1-sza — 2 książki, dostosowane do wieku i upodobań czytelniczki.

2-ga — 1 książka.

3-cia — pudełko papieru listowego.

4-ta — nagroda „pocieszenia" — kwartalna prenumerata „Świata Dziewcząt".

Rzecz jasna, że pierwsza nagroda przypadnie nadsyłającej największą ilość rozwiązań. Następne — w sprawiedliwej kolejności, co do ilości rozwiązań.

Wrazie równowartościowych zgłoszeń konkursowych, co do ilości rozwiązań, nagrody będą przyznawane w drodze losowania.

Żadnych innych spraw koperty konkursowe zawierać nie powinny. Rozwiązanie konkursu podane będzie w dniu 10 lipca b. r.

Nadsyłajcie jaknajwięcej rozwiązań!

REDAKCJA.

TEATR SZKOLNY

Teatr szkolny?

Natychmiast nasuwają się czarowne skojarzenia z „Józiem Jąkałą" albo „Manią Skarżypytą", w których to komedyjkach zdarzało nam się częściej lub rzadziej „przedstawiać". Zostają nam po tych występach wspomnienia przeważnie nudnego, płaskiego moralizatorstwa, pozbawionego najprymitywniejszych wartości artystycznych.

Nie, nie o takim teatrze szkolnym chcę z wami mówić. Chcę mówić o teatrze, w którym wszystko — od tekstu, gry, aż do oprawy scenicznej, aż do najdrobniejszych rekwizytów, opracowane jest przez chłopców i dziewczęta ze szkoły — o teatrze, który mimo, że nie jest tworem dorosłych, posiada przecież wysokie wartości artystyczne.

A czyż to możliwe? A potem — czy to potrzebne? Mamy przecież gotowe arcydzieła sceniczne, którym równych z pewnością nie potrafią napisać niedojrzałe podlotki. Nie potrafią obejść się bez kierownictwa reżyserów, nie potrafią skomponować kostjumów i dekoracyj tak, jakby to zrobili dorośli fachowcy. Lepiej chyba odrazu zrezygnować z jakichś, zgóry skazanych na niepowodzenie, prób „małpowania".

Niewątpliwie — o ile chodziłoby tylko o „małpowanie", o naśladowanie form gotowych, przez cudzą wyobraźnię stworzonych, o przejęcie treści, zaczerpniętych z cudzej płaszczyzny myślowej. Ale ja nie o takim teatrze chcę z wami mówić. Chcę mówić o teatrze *szkolnym* — szkolnym nietylko dlatego, że terenem jego jest budynek gimnazjalny, czy seminaryjny, szkolnym — dzięki jego treści wewnętrznej; chcę mówić o teatrze młodzieży, tworzonym przez młodzież samą.

Zanim przystąpimy do rozważenia organizacji, zadań i możliwości tak pojętego teatru, musimy się przedewszystkiem zastanowić nad tem, jaki właściwie gatunek sztuki reprezentuje teatr, jakie są jego najbardziej odrębne, charakterystyczne cechy; a dalej — jaki może być istotny stosunek młodzieży do tej gałęzi twórczości, czy istnieje, i jak się przedstawia zasadnicza, przyrodzona niejako postawa kilkunastoletniego chłopca, czy dziewczyny wobec misterjum sceny.

Dwie są szczególne właściwości, które sztukę teatru wyróżniają z pośród wszystkich innych, nadając jej pewne niezwykłe zabarwienie Pierwsza — to jej *zespołowość*.

Teatr tworzy się zbiorowo. Jednostka nie ma tu sama przez się znaczenia. Nawet najgenjalniejszy aktor musi mieć partnerów. Zatraca się efekt najbardziej aksamitnem „tremolando" wyszeptanego wyznania miłosnego, jeśli „pierwsza naiwna" siedzi przytem jak pień, a odpowiada jak pozytywka. Co z tego, że mężny przywódca wygłosi stentorowym głosem płomienne przemówienie, jeżeli tłumy statystów nie przejmą się zgoła zamierzonym buntem i wybełkocą: „Już czas, już czas! Do broni!" — poziewając przytem zlekka lub niefrasobliwie drapiąc się po łysinach. Ale zdarza się i tak, że główni bohaterowie grają świetnie, statyści, sprawnie wyćwiczeni, poruszają się i wydają okrzyki z największą żywością i napięciem — ale źle ustawione mury z tektury walą się nagle na głowę dumnej księżniczce, albo maszynista zapomni w porę spuścić kurtynę i wynikają z tego nieprzewidziane zgoła komplikacje. Bo talent, to sztuka zbiorowa, zależna nietylko od talentu aktorów, inteligencji reżysera, ale i od zrozumienia i dobrej woli masy innych pracowników: dekoratorów, kostjumerów, maszynistów, rekwizytorów...

Jest to cudowna sztuka, w której — jak w żadnej innej — jednostka czuje się w każdej chwili odpowiedzialna za los całości, a jednocześnie jest bez przerwy od tej całości zależna. Cudowna sztuka, w samym swym ustroju, w surowych niezłomnych swych prawach, w sposobie rozłożenia ciężarów i obowiązków — będąca odbiciem współpracy idealnych społeczeństw, i to jest właśnie cecha, która już sama przez się predestynuje teatr do tego, by stał się twórczością młodzieży — terenem artystycznego wypowiedzenia się całej grupy, całego kręgu młodych: tych, którzy chcą pisać, tych, których pociąga aktorstwo, tych, którzy chcą dać wyraz swojej wyobraźni plastycznej — i tych wreszcie, którzy nie mając ambicyj artystycznych, tylko zwykłą rzetelną robotą, cichym trudem krawieckim, czy ciesielskim, energją, sprytem, wytrwałością, zechcą współdziałać w powstawaniu czegoś, co się nazywa widowiskiem scenicznem.

Drugą przedziwną właściwością teatru jest sam materjał tworzywa. Jak w rzeźbie artysta kształtuje glinę, w malarstwie farbę — tak tutaj człowiek poddaje prawom swej sztuki samego siebie. Ciało człowieka, jego głos, gest, spojrzenie — stają się pośrednikami pomiędzy widzem, a wyobraźnią twórczą. I to jest znowu ta płaszczyzna, na której tak łatwo może nastąpić kontakt między młodzieżą w wieku szkolnym, a sztuką sceniczną. Chłopiec, czy dziewczyna, a w większym jeszcze stopniu małe dziecko — z natury, z przyrodzenia niejako, jest aktorem. Ma tę wewnętrzną potrzebę, która każe mu siebie samego przeinaczać, wymyślać dla siebie urojone sytuacje, tajemnicze przygody... Czemże innem, niż swoistego rodzaju teatrem jest zabawa małych dziewczynek „w państwo", gdzie każde z dzieci po kolei jest mamusią, tatusiem, służącą, sklepikarzem, policjantem? A ów mały berbeć, który bawiąc się sam w pokoju, odskakuje nagle w kąt, ostrzegając surowo matkę: „Uważaj — bo pociąg jedzie!" — ten brzdąc kilkuletni czyż nie jest w jednej osobie autorem i aktorem pięknego widowiska scenicznego? Dawno już stwierdzono, że gry i zabawy dziecięce stanowią jedno ze źródeł sztuki teatru.

I oto są dwa najważniejsze momenty, które należy brać pod uwagę przy tworzeniu tego laboratorjum, tego studja artystycznego, określanego przez nas mianem *teatru szkolnego:* przyrodzona aktywność aktorska dzieci i młodzieży, aktywność, która może i powinna wypowiedzieć się w *swoistej, odrębnej, własnej* twórczości scenicznej, oraz *zbiorowość* wysiłku, wspólność poczynań, praca gromadna. Cele tej pracy, program działania, ramy organizacyjne omówimy następnym razem.

Jel.



„Pączuś i Faworuś" — na scenie szkolnej



„Wesele dudka i kawki", odegrane w „Szkole Radosnej".

w wozowni — na dnie bryczki

(Nowela).

Właściwie na Romka nie zwracało się zbytnio uwagi. Mówiło się o Maryli i jej braciach: Romanie czyli Romku Dużym, o Jurku, nawet o Janku i Zygmuncie, o ile zechcieli się zniżyć ze swych studenckich wysokości, o psach — o Tadku wreszcie, ale też bardzo niewiele, boć był znów z tamtej gromadki najmłodszy. A Romek — co? Był rodzonym bratem, a w dodatku młodszym od Eli. Wiadomo o nim było, że jest nieznośny, że wymyśla sobie wrzaskliwe zabawy i biegając z Tadkiem po całym ogrodzie dziko wykrzykuje: pal! pal! — co ma oznaczać strzały, a w gruncie rzeczy niema sensu; że wreszcie ogromnie lubi przywiązywać sobie z tyłu do paska jakiś gałgan wąski, a długi, wlokący się za nim ze dwa metry i zdaje mu się wówczas, że jest djabłem... Zresztą po jakimś czasie zapomina o swem djabelskiem wcieleniu, a szmata również zapomniana zwisa smętnie cały dzień, póki się smarkacz nie zaplącze i nie przewróci, albo póki nie zdarzy się to komuś starszemu i wówczas „człowiek, który przestał być szatanem" dostaje w skórę.

Tak więc niewarto było brać go pod uwagę. Naprzeciwko po drugiej stronie szosy w czerwonym ceglanym budynku mieszkała Maryla i jej bracia, a w domu Eli były psy. Niewiadomo komu zostawiała pierwszeństwo, zresztą nie zastanawiała się nad tem. Maryla była milcząca, pozornie nieśmiała i skryta, to Elę zawsze interesowało, ale czasem drażniło.

— Ty to bardzo mądrze urządzasz: ja ci zawsze wszystko wypaplę, a ty ani mru-mru!

A Maryla prostowała się i uśmiechała tajemniczo. Ela lubiła jednak bardzo tę śliczną, czarną poważną dziewczynę, choć nie miała wrażenia, by kapitał jej uczucia dawał odpowiednie procenty z tej lokaty. Nie mogła się zresztą nie przywiązać do rówieśnicy, z którą bawiła się jeszcze lalkami z trawy... „Lalki z trawy" — mój Boże, cóż to były za rozkoszne straszydła! Wyrywało się z ziemi jednolity pęk trawy, obtrząsało się korzonki i to były włosy, zielona część spowita w „bluzkę i spódnicę" z papieru stanowiła „sportowy" tułów. Rąk i nóg potworek nie posiadał. Za to z włosów można było układać najrozmaitsze uczesania. Wzorowały się na znajomych paniach. Dziewczęta rozstawały się jedynie na czas lekcji, jedzenia, no i spania, nazywano je przyjaciółkami. Tak, Ela bardzo lubiła Marylę. Kiedyś usłyszała, gdy mówił ktoś ze starszych:

— Jak to mądrze natura rozdziela swoje dary, podczas, gdy Maryla jest cicha i jakaś bierna — jej bracia kipią życiem i biorą wszystkie [illegible]

Ela nie dałaby głowy za tę... „mądrość" natury, ale chłopców lubiła również.

Był czas, że króliki zajmowały jej dużo czasu, ale przejściowo. Póki to były zwykłe chłopskie „króle", póki miały zagrodę w stajni. Sprowadzone później przez ojca rasowe, srebrnoszare jaśniepańskie kłapouchy, dla których specjalnie zbudowano rodzaj pałacyku z przegródkami, przestały ją interesować. Bo przedewszystkiem mało było młodych powtóre te, co były, okazały się jakieś chuderlawe, a po trzecie gdy jedno nieopatrznie wtargnęło do przegródki królika-ojca, ten je zagryzł. To było [illegible]

Ten brak sympatji do nieszczęsnych królików nie oznaczał zresztą braku uznania dla rasy. Ależ co znowu! Jakże kochała, jakże dumna była z angielskiej wyżlicy, matki psiego rodu, mądrej, dostojnej Alfy! Rozumiały się wzajemnie. Kiedy ta biała, o jasno-bronzowych uszach i długim drobnym pysku, suka patrzyła swemi złotemi oczyma, wierzyło się jej bezgranicznie. Te jej oczy, te złote oczy, które każde „na polowanie"! w ustach ojca witały błyskiem żywiołowego zapału: każdy żart Eli, czy Romka iskierkami dobrego humoru i pobłażania: każde zmartwienie.. Ale to miało przyjść później.

Romek również przepadał za Alfą, a Ela nie znosiła obcinania paznogci do skóry scyzorykiem, a jednak...

Wystarczyło powiedzieć: „Alfa mnie woli od ciebie", aby się rozpoczęła groźna w następstwa rywalizacja.

— O, naturalnie, ciebie!

— No, zobaczymy.

— A zobaczymy.

I zostawiali Alfę na końcu alei, sami stawali na drugim końcu każde przy brzegu i wołali.

Żadna kandydatka na Miss Polonję nie przechodziła takiej udręki oczekiwania ani żądzy [illegible]

— Alfa!

— Alfa tu!

— „Tu" się nie woła — syczała wściekłym szeptem Ela — ale kiedyś taki... Alfa, fiut — gwizdnęła.

Pies w radosnych podskokach podbiegł do [illegible]

— To się nie liczy:tyś gwizdnęła.

— A jak ty wrzeszczysz „tu", to się liczy? Mądryś! A i tak nic ci nie pomogło, bo Alfa mnie woli od ciebie.

— O cóż wy się znowu kłócicie? — pytali chodzący po ogrodzie rodzice.

— Ej, nic — mruczał Romek i nagle oślnoe [illegible]

— Zdaje się, że Ela mu znowu za duże pa- [illegible]

A na to ojciec wyjmował z kieszeni scyzoryk (br!) i kiwał głową:

— Oj, ty, ty! Żebym ja jeszcze musiał myśleć o paznogciach takiej starej dziewuchy.

Zemsta jest rozkoszą... smarkaczy.

Alfa pomachała ogonem, zapewne chciała w ten sposób wyrazić Eli swoje współczucie, ale wkrótce jej się to sprzykrzyło i pobiegła do swych dzieci. A było ich troje. Niedołężne, ciepłe, baryłkowate kluski w miarę czasu rosły, traciły dziecięcy tłuszcz, a nabierały indywidualności. Kierz był jeszcze mały, gdy go oddano sędziemu na Krzykawkę. Luba się nie udała. Nawet gdy zupełnie dorosła, pozostała o dobrych parę centymetrów niższa od matki, przytem krępą budową zdradzała niemieckie pochodzenie swego ojca, Bryla. Pan jej nie lubił. Mówił o niej: „Włóka". Odczuwała to ogromnie przykro — no i jakże nie miała się włóczyć, kiedy nie wiedziała co zrobić ze swoją nielubianą osobą...

Beks biedak zawsze nieporadny, wziął po ojcu bronzową maść całej sierści, ale smukłą „figurę" wraz z długiemi nogami — po matce. Był ogromnie dziecinny i wzruszająco-dziecięce zaufanie okazywał całemu światu. Niczego się nie bał, bo nie wierzył, żeby mu ktokolwiek chciał krzywdę zrobić. I tak oto siedzi sobie mój Beks na podwórzu, a Jasiek wytacza bryczkę z wozowni. ...Aż oto: ajajaj! ajajaj! ajajaj! Rozlega się przeraźliwy skowyt-pisk i rozełkany psiak unosi swój zbolały ogon z przejechanym przez koło koniuszkiem i — doświadczeniem: bryczka — to wróg i trzeba się jej strzec. Sprytnej Lubie nie mogło się zdarzyć nic podobnego. Beksio w krótkim zresztą czasie dokonał swego płaczliwego żywota: zginął trawiony jakąś dziwną, niezbadaną chorobą.



...jak nie skoczy do pyska Alfusi!

Matka Eli i Romka smuciła się najwięcej: pies był jej ulubieńcem.

Wieczorem tego dnia byli goście.

— Pani nie ma dziś swego złotego humoru — zainteresował się pan Włodzimierz.

— A tak. Spotkała mnie wielka przykrość. Beks zdechł.

— Ach, ten bronzowy pies z nieproporcjonalnemi nogami? Co, pani ma łzy w oczach? A to dopiero! Płakać o psa... słowo daję!

Ela zacisnęła pięści pod stołem. Po chwili raptownie wybiegła do ogrodu i —

— Idjota! — wrzasnęła w ciemność.

Niestety, nie była sama. Coś się poruszyło za nią w ganku.

— Kto to?

Cisza.

Machnęła ręką, wróciła do pokoju i usiadła „grzecznie" na swojem miejscu.

— Proszę pana, proszę pana — zagadał nagle Romek, ale nikt jakoś nie zwrócił na niego uwagi.

— — Proszę pana, proszę pana — powtarzał natarczywie.

— Romeczku, wiesz przecież, że nie można przeszkadzać — upomniała matka.

— Kiedy ja chciałem powiedzieć coś ważnego: Ela powiedziała na pana Włodzimierza: Idjota!

Tableau.

Mniej więcej w rok potem Luba zgotowała wszystkim niebywałą niespodziankę. A było tak.

Alfa znów miała nowe dzieci — i mimo że była przyzwyczajona do takich ewenementów w swojem życiu i wbrew łagodnemu usposobieniu — tym razem okropnie z lada powodu się irytowała. W tym czasie kura wodziła kurczęta. I stało się, że traf postawił obie te matki naprzeciw siebie. Wtedy kura — jak to kura: głupia, jak stołowe nogi — posądziła Alfę o złe zamiary względem swego potomstwa i... jak nie skoczy z głośnem kwokaniem do pyska Alfusi, jak nie zacznie bić dziobem i skrzydłami! I padła, biedaczka, ofiarą własnej głupoty, bo zaskoczona i rozwścieczona suka zagryzła kurzą matronę. Och, jakże zawstydzona wracała do swych szczeniąt: nigdy w życiu ani przedtem ani potem nie zdarzył jej się podobny wybuch nieopanowanej złości.

No, ale fakt pozostał faktem, a dziesięcioro bieluchnych, niewypierzonych kurcząlek bez opieki. Chowało się je w pierzu, przy piecu: stukało się palcem w deseczkę, pokazując im, jak mają jeść — nic nie pomogło: ginęły jedno po drugiem... Zwyczajnie, jak to bez matki. Wreszcie po kilku tygodniach pozostało jedno, jedyne samotne, małe, głupiutkie. Zbyt głupie, aby się mogło dziwić swej samotności.

I wtedy na widownię dziejową weszła bezpretensjonalnie Luba. Ta „włóka", ten obieżyświat obcy i obojętny dla spraw domowych, to stworzenie bez godności, obnoszące swoją bezpańskość po cudzych kątach — *teraz* kamieniem leżało pod piecem, a na niej beztroskie, naturalnie przyjmujące ciepło psiego ciała, kurczę — sierota, która znalazła przytułek. Ale czyż tylko przytułek?! Najczulszą nianię i guwernantkę! Luba formalnie „wodziła" tego kurzego jedynaka. Żadnego nieostrożnego stąpnięcia, żadnego zgięcia łap, jeśli przypadkiem znalazł się między niemi ufający wychowanek. A jaka była zabawna, kiedy kurczę wlazło przez szparę w sztachetach do ogródka warzywnego! Jak prosiła, żeby jej otworzyć! Jak nie chciała się z niem rozstawać!

U ludzi miałoby to akcenty melodramatyczne: bądź co bądź córka morderczyni!

VI.

W tym mniej więcej czasie Romek zaczął się uczyć, a na pytanie: „Powiedz mi jakiś wyraz na u" — odpowiedział: „U Krajewskich". — Cudowne dziecko!

Budzili się oboje zawyczaj wcześnie i ranne godziny Ela „poświęcała" bratu, to znaczy kłócili się ząb za ząb. Owe „pogadanki rodzinne" zaznaczały się zwykle tem, że rozzłoszczona wpijała mu palce w ramię i mówiła: „Ty-y!" Zdarzało się, że bywała sromotnie kopnięta w nogę. Utarł się nawet następujący zwyczaj zakańczania sprzeczki:

— Tobie trzebaby zamknąć usta na klamkę!

— A tobie na klucz!

— A tobie na kłódkę!

I siekały powietrze błyskawiczne skróty

— Na klucz! Na klamkę! Na kłódkę!

— Klucz! Klamkę! Kłódkę!

Chodziło tylko o to, kto pierwszy zorjentuje się, że mu brak argumentów i zacznie stosować tradycyjny epilog.

Pozatem Ela miała już w ostatecznej rezerwie aforyzm:

— Kogo Pan Bóg chce skarać, temu zsyła młodsze rodzeństwo.

Bo czemu on jej stłukł skarbonkę naumyślnie, podczas gdy ona jemu (słowo honoru daję) niechcący? Czemu ją kompromituje wobec braci Maryli, opowiadając, jak to wczoraj brała olej? Czemu rzucił nowiuteńkie „Dzieci kapitana Granta" na piec?

A zrozpaczona matka mówiła zaspana z drugiego pokoju:

— Bójcie się Boga, dzieci, jest was dwoje i tak się kłócicie, a coby to było, gdyby was było sześcioro?!

Potem zresztą Ela z lekkiem sercem wracała do zwykłych i ważniejszych zainteresowań dnia powszedniego. Znów przychodziły: lekcje, Maryla, psy, spacery, książki.

Książki. Właśnie. „Połknięte" (ty nie czytasz, ty połykasz!) 42 tomy Kraszewskiego, cały Sienkiewicz, moc Verne'go, cudowne Małe kobietki kochanej pani Alcotte i tyle, tyle innych zajmowały połowę bibljoteki rodziców.

— Nie, wiesz, Elu, że ty jesteś niemożliwa: jak wsadzisz nos w książkę, to o świecie bożym zapominasz. Słyszałaś przecież, że się nakrywa do stołu, więc czemu nie idziesz na obiad. Czy mam cię zapraszać w zielonym fraku?

— Już idę, idę!

A podczas obiadu awantura! Romek nie chce jeść.

— Co się stało? Chory jesteś, czy grymasy?

— Nie! Nie będę jadł. Ta kura taka była miła — wczoraj jeszcze chodziła sobie po podwórzu, a wyście ją zabili!!

Następne przeżycie było na innem tle. Oto razu pewnego chłopiec zjawił się w domu z jakimś psem na rękach.

— On będzie mój. Ja go znalazłem! Nazwę go Motylek.

— Zwarjowałeś — protestowała ciocia, która bardzo źle sypiała. — Nic mi nie brakuje do szczęścia, tylko twojego... Motylka, który z pewnością w nocy spać mi nie da.

— Pozwólcie mi! On jest taki śliczny i napewno w nocy będzie cicho; zresztą wezmę go do łóżka.

— O, co to — to nie — zabrała głos matka. — Na to stanowczo nie pozwalam. Niech sobie zostanie, ale nocować będzie w kuchni.

Kundlątko to było zapowietrzone, ten cały „Motylek" i czarna łata biegła mu przez jedno oko, ale Romek tego nie widział. A kiedy opiekun spał już snem sprawiedliwych, umieszczony w kuchni mały znajda jął skamleć i piszczeć do drzwi. Zniecierpliwiona Franusia wypuściła go, a on, pechowiec, pobiegł i... pod samem oknem cioci zaczął wyć, jak obdzierany ze skóry. Wtedy matka z ciotką zabrały psiaka daleko, daleko



...Ela powiedziała na pana Włodzimierza idjota.

i przywiązały do płotu ostatniej za wsią zagrody.

A rano jakiż zawód!

— Uciekł... A ja go już tak kochałem...

VIII.

Służba mówiła:

— Pani, o! pani — to dobra, a pan też dobry, ale... prędki.

I tak było.

Pani — to jest matka Eli i Romka — była najlepszym, najmilszym, najcierpliwszym, najrozumniejszym i najradośniejszym człowiekiem na świecie; ale i pan — to jest ojciec — był bardzo dobry i troskliwy, choć łatwo się gniewał. Ale wiedzieli wszyscy, że... niema dymu bez ognia i, że pan jest zazwyczaj wówczas „prędki", gdy go właśnie nawiedzi ów straszny ból głowy, który zamęcza i gnębi, gnębi, jak zmora.

A ten tydzień wlókł się jakoś nieznośnie. Deszcz padał, lekcje były nudne, zadania nie wychodziły, aż wreszcie przyszedł najmilszy dzień w tygodniu, długo oczekiwana, uśmiechnięta słońcem sobota. Ptaki zaaferowane kokosiły się wśród nieobeschłych jeszcze liści, psy myszkowały w wilgotnej ziemi, szukając kreta, jak to się mówiło, i biegały uszczęśliwione z zamorusanymi pyskami. Romek, przygotowując jakąś wielką wyprawę, przewracał we wszystkich szufladach, zbierając gwoździe, guziki, kawałki kredy, sznurki, stare naboje i t. p. rekwizyty dla jemu tylko wiadomych celów. Przejęty ważnością chwili wybiegał i wracał, wybiegał i wracał, pogwizdując z zadowoleniem. Ela „krótszą drogą", t. j. przez okno, wyszła na podwórze. Spotkała ojca, który ze zmarszczonem czołem obchodził dom dookoła, chcąc rozproszyć migrenę.

Zajrzała do kuchni. Franusia szorowała podłogę i była zła. Trochę przez te porządki, ale głównie dlatego, że „się kochała"... Ela znała te sprawy. Do Franusi „chodził" Janek, zwany przez rodzeństwo organistą, bo zawzięcie wygrywał na organkach. Ale Janek był krótki-węzłowaty, „na gebie mu djabli groch młócili" (tak służąca określała ślady po ospie) i w kolanach miał trochę krzywe nogi. Słowem — nie podobał się Franusi. Tylko-że — cóż? „Inny może się nie trafić". Na dobitek jutro, t. j. w niedzielę miał przyjść po ostateczną odpowiedź. Ryżowa szczotka w energicznem, zaciekłem tempie zbliżała się ku progowi. A tam za progiem w sieni przysiadł Romek, który widocznie za beczką urządził sobie skład materjałów bojowych. Właśnie wracał po nowe zapasy.

— Romusiu, proszę sobie stąd iść — rzuciła żywo Franusia.

— Idę, ale ja tu zaraz wrócę.

— Nie wracaj, bo nie mam czasu na zabawę!

— Ależ ja muszę wrócić, bo ja tu mam wszystkie swoje rzeczy. Jutro o czwartej rano idę z Tadkiem na polowanie.

— Nie mnie to nie obchodzi. Proszę mi tu nie gawędzić *), bo złapię te śmieci i wyrzucę!

W oczach Romka błysnęła zgroza:

— Śmieci?! — krzyknął. — Co? Śmieci?! Nie waż mi się tykać mojej broni!

— Ej, bo jak wezmę ścierkę — odwrzasnęła Franusia.

Teraz wypadki zaczęły migać, jak przyśpieszone obrazki w kinie.

— Co? Ty mi tu dziecko będziesz biła — huknął gniewny głos ojca.

— A czemu on mię tu leci bić, kopać i wyrządzać mi **) — wykrętnie pokrzywdzonym głosem zaterkotała tchórzliwa Franusia.

— Toś ty taki!

I wtedy ojciec — ten zawsze sprawiedliwy ojciec — wyciąga zaskoczonego Romka za kołnierz zza beczki i w oczach oszołomionej siostry, przelękniętej służącej i zgłupiałych psów, uderza go raz po raz mocno i boleśnie.

Alfa i Luba popędziły za Elą, która wpadła jak bomba do wozowni. I trzeba się jej było, objąwszy oba psy za szyję, na dnie bryczki tak strasznie zbeczeć, aby się dowiedziała, że kocha swego brata.

Al. Gadomska.

*) Gawędzić = przeszkadzać (gwara olkuska).

**) Wyrządzać = dokuczać, maltretować.

GASTON CH. RICHARD



CZAR SKRZYDEŁ

TŁOM. STEFANJA HEYMANOWA

(Ciąg dalszy)

W tej samej chwili, jakaś żelazna pięść spadła mu na kark i uniosła go z ziemi... Czuł, że ktoś mu wyrywa z dłoni broń i po paru sekundach ocknął się w pozycji leżącej, nosem do ziemi, ogłupiały ze zdziwienia...

Podniósł się w mgnieniu oka i oddychając ciężko i wypluwając tłuste trociny, któremi pokryta była podłoga i które przylepiały mu się do ust, zaklął siarczyście...

W tej samej chwili cofnął się z westchnieniem bezsilnej wściekłości: przed nim stał Piotr Durand Gardel, z błyszczącemi oczami, i zbielałemi wargami, ale chłodny, jak marmur.

Dick, z opuszczoną głową, czekał.

— Zbierz swoje narzędzie... zwróć się do kasy po wypłatę i wynoś się stąd! — zawołał Jobert. — Czyś oszalał, przeklęty kozak? I nie pokazuj się tu więcej, zrozumiano? Dla ciebie nie będzie tu nigdy zajęcia, nawet — zamiatacza, brudasie!..

Rzucił szydło pod nogi mechanikowi.

— Stawiać się tu będzie i jeszcze wobec kobiety! Czy ci nie wstyd?

Dick otarł swą brudną ręką zakrwawiony nos i nic nie odrzekł.

— Pani pozwoli że załatwimy to między sobą, Janko — przemówił wreszcie Piotr, który nadludzkim wysiłkiem woli starał się zachować spokój.

— Proszę pana usilnie, ażeby pan nie wyrzucał tego człowieka, panie Jobert — rzekła Janka — otrzymał to, na co zasłużył za swą bezczelność i... nie należy żywić do niego urazy za mimowolny gest, podyktowany gniewem...

Jobert s p o j r z a ł na Piotra.

Oddalenie Dicka było dla niego bardzo bolesne. Zręczny jak małpa, zdolny, pomysłowy, ryzykujący nawet skręcenie karku, jeżeli trzeba było naprawić coś w aparacie podczas lotu, Dick był bezwątpienia jego najlepszym mechanikiem.

— Przeproś pannę du Colombel, jeżeli chcesz tu pozostać — rozkazał Piotr.

Oczy mechanika nabiegły krwią.

— Co to, to nie — rzekł z urazą. — Powiedziałem jej kilka rzeczy, ona dała mi w gębę jesteśmy — kwit! A co do „przeprosin", wolałbym lepiej przyciąć sobie język.

— Niech pan nie nalega — rzekła Janka.— Istotnie skwitowaliśmy się...

Odwróciła się na pięcie i wyprostowana, spokojna, skierowała się ku drzwiom warsztatu i zniknęła za nimi.

— Na tydzień—wynoś się.. I żeby mi się to więcej nie powtórzyło, zrozumiano!—rzekł Piotr.

— Dobra! — odrzekł mechanik.

Ułożył swe narzędzia, ścigany surowym wzrokiem młodego człowieka, który obserwował go w milczeniu.

— Dlaczegoś to zrobił? — spytał wreszcie Piotr. — Odpowiadaj!

— Dobra, panie Piotrze—odburknął Dick.— Gdyby pan mi kazał rzucić się pod pańską maszynę, zrobiłbym to... Pan mnie uratował w Dismude, ratując kapitana Roger... Więcej niż raz, załatałem pański wiatrak pod kulami Frycka... Dobra!.. Do pana nic nie mam... ale ona...

— Ale wreszcie, powiedz, czego chcesz od niej, głupcze! Nic ci przecież złego nie zrobiła A jeżeli dostałeś dziś od niej, to sam przyznasz, że zasłużyłeś... Więc?.. Mów!..

— Nic mogę powiedzieć... Przynosi pecha. Jest dla mnie czemś, co możnaby nazwać przeciwieństwem fetysza. Przekona się pan. Panu też przyniesie nieszczęście... Ale tego dnia ja się z nią rozprawię i grosza nie dałbym wtedy za jej życie, tej... panieneczki.

Piotr obruszył się gniewnie. Schwycił Dicka za ramię i pociągnął za sobą, a mechanik nie opierał się temu nawet w najlżejszy sposób. Gdy znaleźli się sami na lotnisku, na które opadał już szary zmrok kończącego się listopadowego dnia, Piotr rzekł:

— Posłuchaj i zrozum mnie dobrze... Cokolwiek się stanie, zabraniam ci dotknąć choćby włosa z jej głowy. Jeżeli nie posłuchasz, Dicku, przysięgam ci, na wszystkie niebezpieczeństwa, któreśmy razem przeżyli, że ci skręcę kark.

— Ach, więc zawojowała i pana także! — jęknął mechanik.

Dłoń Piotra oparta na ramieniu Dicka zacisnęła się.

— Co chcesz przez to powiedzieć?—spytał.

— To czary zaczynają działać! — mruknął Dick. — Jeżeli pan się chce dowiedzieć więcej, panie Piotrze, niech pan zapyta pięknego Fernanda.

Włożył ręce w kieszenie i oddalił się, niknąc we mgle.

Piotr, patrzał wślad za odchodzącym, w smutku wieczora i jęknął głucho, jakgdyby mu ktoś wbił nóż w serce:

— „Niech pan zapyta pięknego Fernanda"!

To okrutne zdanie nie przestawało dźwięczeć z bolesną nieustępliwością w mózgu młodego człowieka. Słyszał wciąż podmiejski żargon mechanika, widział jego chudą twarz, o płaskim nosie, przenikliwych oczach, inteligentnych i — w momencie kiedy wymawiał te słowa — pełnych cierpienia.

Wieczorem, gdy Piotr zobaczył Jankę przy swym rodzinnym stole, nagle poczuł do niej urazę, gorycz zaczęła zalewać mu duszę. Pomimo swej prawości, szlachetności i braterskiej miłości jaka łączyła go z Fernandem, nie mógł opanować jakiegoś złego uczucia, rodzącego się skrycie w jego duszy.

Jadł obiad półgębkiem i pod pretekstem nagłej migreny, chciał się oddalić, gdy zbliżyła się doń Janka i rzekła półgłosem:

— Dziękuję, Piotrze!

— Za co? — spytał trochę mrukliwie. — Za to, że poturbowałem trochę tego biednego warjata, Dicka? Naprawdę, niema za co.

A wobec tego, że patrzała nań, milcząc, zdziwiona tym niezwykłym u niego tonem, dodał z pewnym wysiłkiem:

— Należy zapomnieć o tem zajściu, Janko! Odstawiłem Dicka na tydzień. I podobna scena nie powtórzy się więcej, zapewniam panią. Dick jest zazdrosny o przyjaźń, którą mam dla pana.

— Zazdrosny?—powtórzyła. — Nie rozumiem.

— Darzy mnie wprost psiem przywiązaniem od chwili, kiedy pomogłem jego dowódcy, kapitanowi d'Arbeloye uratować się pod Ypres przed zasadzką niemiecką. Od chwili śmierci Rogera d'Arbeloye, wziąłem go do siebie i razem przeszliśmy wojnę. Pomimo jego dzikiej mordy i trudnego usposobienia, jest doskonałym pracownikiem i porządnym człowiekiem, o sercu wiernem i oddanem. Przeniósł na mnie fanatyczną miłość, jaką obdarzał Rogera d'Arbeloye. I... wie, że mam dla niego dużo szacunku i przyjaźni... Więc... Janko... niech mnie pani dobrze zrozumie, każdy nowy stosunek, każda nowa przyjaźń, która stanowi coś w mojem życiu, przeszkadza mu, rani go, gdyż obawia się, ażeby to nie wpłynęło na mój serdeczny stosunek do niego...

— Nie widzę jednak, dlaczego miałby sądzić, że utraci pańską przyjaźń dlatego, że zostałam pana koleżanką i uczennicą, Piotrze? — rzekła Janka z naiwną szczerością. — Od pierwszej chwili okazywał mi niechęć, która wciąż wzrastała i którą naprożno starałam się



zwalczyć. Twierdzi, że przyniosę nieszczęście [illegible]

— Zostawmy to! — rzekł Piotr, probując się uśmiechnąć. — Wszyscy w naszym zawodzie jesteśmy, mniej lub więcej, przesądni... Ja, wierzę w coś wprost przeciwnego, że pani przyniesie nam szczęście.

Mimowolnym gestem ścisnął swe rozpalone [illegible]

— Niech mi pani wybaczy, Janko, że przerywam tę rozmowę. Mam straszny ból głowy, czuję się bardzo zmęczony i pójdę się położyć... Dobranoc, Janko! Niech pani śpi dobrze! Proszę zapomnieć o tem głupiem zajściu i nie mieć złych snów.

— Dobranoc, Piotrze! — odrzekła, szczerze zmartwiona jego zbolałą miną i rozgorączkowa- [illegible]

Serdecznym ruchem podała mu rękę.

— Niech się pani nie trapi — powiedział [illegible]

Ujął podaną sobie dłoń, przetrzymał ją chwilę w swojej, spojrzał na Jankę, stłumił westchnienie, i odwróciwszy się nagle, odszedł, nie oglądając się.

Znalazłszy się w swem kawalerskiem mieszkanku, na Avenue Marceau, zagłębił się w myślach, siedząc w wygodnym fotelu. Sam przygotował sobie dużą szklankę *whisky and soda* i postawił obok na stoliku.

Otoczył go spokój nocy i w tem milczeniu, zaludnionem cieniami, zaczął sobie przypominać najdrobniejsze szczegóły tych dni, które upłynęły od początku października — przeżywać godziny koleżeństwa i ufnej przyjaźni, które łączyły ich troje — Jankę, Fernanda i jego... I co chwila, niby natrętne uderzenie młotka, rozbrzmiewało w jego mózgu dwa zdania:

— *Niech pan się spyta pięknego Fernanda* — skrzypiał głos mechanika Dicka.

— *Nie wiem, dlaczego miałby sądzić, że utraci pańską przyjaźń, dlatego, że zostałam pana koleżanką i uczennicą* — szeptał słodki głos [illegible]

Kolejno powtarzał te same słowa, niewidzialne widmo, które opanowały jego mózg i kręciły się wkółko w jego pamięci... Nagle w wyobraźni ukazała się postać Fernanda. Swobodny, uśmiechnięty, zabawny, czasem przekorny, otaczał Jankę, codziennie ciaśniejszą siatką uprzejmości, clownowskich żartów, czułej uwagi. Ona śmiała się, jak dziecko, z nieprzewidzianych wybuchów jego południowego temperamentu, z jego pociesznych pomysłów... Fernand, bardzo muzykalny, tworzący z łatwością rymy, urodzony parodysta, inicjator, błazen, posiadał tę lekkość, bystrość i rzutkość umysłu, które podobają się kobietom nawet najwięcej poważnym. W smutnych czasach wojny był radością całej eskadry i jej opatrznością, w najtrudniejszych chwilach.

Czy on, Piotr, nie został sam opanowany, przed piętnastu laty, jeszcze na ławie szkolnej, przez tego pięknego chłopca, który niczego nie brał poważnie i przyjmował z tym samym wesołym śmiechem nagany i pochwały.

[illegible]

C O B E A

Jest to roślina bardzo wdzięczna do hodowli w pokoju na balkonach oraz w gruncie. Nadaje się również doskonale do oplatania altan, stroić pięknie werandy i ganeczki. Kwiat ten, pnący się w górę przy jakiejkolwiek podporze, chwyta się przy pomocy wąsów zwijających się w sprężynki, nie wymaga więc żadnej specjalnej podpory, wystarczy zwykły sznurek, by cobea zmieniła się w potężną ljanę. Sposób hodowli jej jest zupełnie prosty. Ogrodnicy wysiewają nasiona cobei-scandens już w styczniu, nakrywają skrzynki szkłem i utrzymują je w cieple i wilgoci, aż roślinki wyrosną do 10 cm. wysokości i mają po 3—4 liści.



Cobea scandens.

W maju przesadza się silniejsze okazy do gruntu, lub do doniczek wypełnionych na dnie skorupkami glinianemi, a w 2/3 ziemią inspektową z liściastą. Cobea zwana również „Sępotą" lubi przesadzanie, zanim więc zacznie puszczać wąsy chwytne, można ją nawet dwa razy przesadzić w okresie sześciu tygodni. Podczas przesadzania musimy jednak uważać, ażeby następna doniczka była tylko o jeden numer większa od pierwotnej.

Gdy już roślina ustali się w ziemi i dostatecznie wzmocni, dajemy jej gładki palik wbijając go ostrożnie, by nie uszkodzić korzeni, przywiązujemy do niego sznurek i przymocowujemy go w tych miejscach, przez które chcemy roślinę prowadzić.

Cobea jest tak podatna, że można nią przy pomocy sznurka wypisywać na murze rozmaite figury i monogramy. Posadzona w gruncie koło altany, lub ganku, oplecie je wkrótce gęstwiną ciemno - zielonych liści.

Nie lubi jednak miejsc na balkonie wystawionym na silne wiatry, wówczas bowiem cierpi, liście szybko czerwienieją i usychają.

W hodowli cobei bardzo ważną rolę odgrywa pierwsze przywiązanie delikatnej rośliny do palika. Musimy uczynić to przy pomocy taśmy rafji szerokiej na 1/2 cm., wygładzonej jak wstążka. Po dwukrotnem owinięciu wokoło ralją związujemy ją w lekki węzeł, a pozostałe końce przycinamy ostremi nożyczkami uważając, by nie poderwać roślinki w korzeniu.

W połowie sierpnia ukażą się piękne zielone pęki wiążące na długich szypułkach. Kształt tych pączków jest tak piękny, w jasnozielonym kolorze, że zdobi roślinę na równi z kwiatem.

Rozwija się powoli, aż do końca sierpnia, wreszcie ukazuje się duży szarozielony kielich z odwiniętemi, fryzowanemi brzegami, który pod działaniem słońca nabiera barwy ciemnofioletowej lub różowej. I wówczas odbywa się prawdziwe misterjum przyrody, zaczynają bowiem krążyć wokoło bąki i trzmiele szukające wonnego miodu. Wsuwają się brzęcząc do wnętrza kwiatu przeciskając się wśród żółtych pylników. Po chwili wylatują zwolna na zewnątrz pokryte zupełnie żółtym pyłkiem. Szukając dalej miodu wciskają się do innego kwiatu, przez co zapylają słupek i znów lecą dalej.



Owoc Cobei naturalnej wielkości.

Kwiat zapylony zwęża się, wkrótce odpada korona i formuje się owoc nasienny. Owoc ten nie jest dla ludzi jadalny, wygląda jednak okazale, jak duża, zielona śliwka wyrastająca z pośród liści dawnego pączka.

Jedna silna roślina dorasta czterech metrów długości i może mieć około 60 kwiatów, które kwitną nieprzerwanie, aż do pierwszych mrozów.



Kwiaty Cobei.

Cobea hodowana w pokoju oplata okna, ściany, obrazy i lustra, a kwitnąć może do połowy grudnia. Musi jednak być obficie podlewana i zraszana.

Jest to roślina jednoroczna w hodowli pokojowej, w cieplarniach jednak doprowadzają ją do rozmiarów drzewa, którego pień przy ziemi [illegible]

Jeżeli ktoś ma zamiłowanie do hodowli roślin, niech nie żałuje trudu i starania przy pielęgnowaniu cobei, gdyż roślina ta swym wdziękiem i bujnością odwdzięczy się stokrotnie.

Marja Stefkowa.



POLOWANIE W PUSZCZY

Trzeba było ostrą siekierą zwalać trzony wyniosłych lip i dębów, świerków, jesionów, klonów i wiązów, żeby utorować sobie jakąkolwiek drogę wśród dziczy. Trzeba było także celnie rzucać oszczepem między drzewa, by ugodzić w serce skradającego się napastnika, zatapiać ostry nóż w włochatą pierś wilka, czy rysia, napinać kuszę, puszczać pierzastą strzałę, jak zabójczego posła. Od konieczności obrony, od straszliwego lęku człowieka zgubionego wśród zwierząt i drzew zaczęły się polowania w Białowieży.

Ale rychło okazało się, że polowanie może być nietylko konieczną obroną własnego życia, że niszczenie leśnego zwierza, okrutna walka z żubrem i niedźwiedziem to także rozkoszna i wspaniała za-

Polowano tutaj od wieków! Wkroczywszy pomiędzy niebotyczne pnie olbrzymich drzew, strzelające ku niebu z pośród gęstych zarośli i krzaków, dostawszy się w zielony cień puszczy, człowiek instynktownie chwytał za broń, czując, że się zagubi, że zginie, przygnieciony przez ogrom drzew, rozszarpany przez ukrytego wśród nich zwierza. Drzewa, drzewa, drzewa, jak gładkie smigłe kolumny, gdzieś w górze łączyły się koronami w złoto zielony gąszcz, zasłaniając niebo. Drogi gubiły się co krok w nieprzebytych gąszczach, zapadały w grząskie, czarne, nieprzebyte bagniska, urywały się zawalone przez wykroty pni, korzenie sterczące w górę i obrośnięte mchami.

W liściach, w trawach, wśród gałęzi, w trującym zielonym mroku, gorzkim od zapachu roślin i wyziewu błot, trwał nieuchwytny brzęk zjadliwych komarów, syk węży, pomruk złych drapieżników, które zza drzewa, z pod nóg, z gałęzi nad głową mogły skoczyć na przybysza.

Gromady czarnych, kudłatych, straszliwych żubrów przedzierały się przez gęstwiny z łomotem gałęzi i ciężkiem dudnieniem, łosie żerowały na bagnistych polanach, wilkom świeciły po nocach złe żółte oczy, niedźwiedź z groźnym pomrukiem czatował wśród pni, drapieżne koty o wygiętych grzbietach zwijały się wysoko na gałęziach. Te zwierzęta — groziły śmiercią.

A śmierć czekała również wśród tej ciżby drzew, z pośród których trudno się było wydostać, które zamykały przybysza w swym zaczarowanym kręgu, obstępowały go straszliwe, wszystkie do siebie podobne, żeby się zgubił, zaplątał, zginął umęczony, zagubiony, bezradny w nieprzetrzebionej gęstwinie.

Więc trzeba się było bronić, trzeba było polować, rąbać drzewa puszczy i zabijać jej okrutnych mieszkańców.



...tych „gonnych", śmigłych pni...

bawa rycerska dla władców, dla możnych rycerzy, dla przybyszów z bezleśnych dalekich pól.

Od wielu wieków polowano na żubry w Białowieży. Do groźnej puszczy zjeżdżał na rycerskie łowy Jagiełło i Witold z całym, średniowiecznym, litewskim dworem, by przez osiem dni polować i zbierać zapasy mięsiwa na wielką wojnę z Krzyżakami. Potem poeta Zbylitowski posyłał Annie, królewnie szwedzkiej „pisanie satyrów puszcz litewskich o łowach w Białowieżach", a potem jeszcze rozbijał tu swe myśliwskie namioty król Stefan Batory, król August III, król Stanisław August.

Zmieniły się rodzaje polowania, pierzaste strzały zastąpiły kule, zamiast kusz używano krócic i pistoletów, ale wciąż dzikie zwierzęta puszczy z dzikim rykiem padały rażone, skrawione, na trawy i mchy, a zastępy myśliwych zbrojnie wdzierały się w nieprzebyte gęstwiny pni i zarośli.

Tych gładkich „gonnych" śmigłych, pni nie rąbano już teraz tylko dla utorowania sobie drogi przez las, ani dla zbudowania chałupy w puszczy. Okazało się, że to piękne zdrowe, wyniosłe drzewo może służyć na maszt okrętu i na wiele pięknych i pożytecznych rzeczy. Kupcy portugalscy już w XV-ym wieku spławiali je Narwią i Wisłą w dalekie strony. I odtąd siekiery kupców, ostre piły drapieżnie zatapiały w kolumny żywe, a sięgające koronami wzwyż, w śliczne białe pachnące żywicą trzony.

Przychodziły czasy pokoju, w których dbano o bogactwo i gospodarkę w kraju i wtedy drzew i zwierząt puszczy Białowieskiej pilnowali królowie polscy, a potem rosyjscy carowie. A potem przychodziły straszliwe wojny, przemarsze wojsk, nędza mieszkańców i siekiera trafiała pnie drzewa, kula serca wspaniałego, kudłatego żubra.

Drzew było bardzo wiele. na olbrzymich przestrzeniach wspaniałe i wysokie porastały grunty bagniste i suche Białowieży. To też nawet rabunkowa gospodarka Niemców za czasów niemieckiej okupacji podczas ostatniej wojny nie zniszczyła ich całkowicie. Tartaki, pracowały bez wytchnienia, siekiery zwalały najpiękniejsze olbrzymy drzewne, na niezwiezionych piętrzących się, co krok zwałach pięknego żywicznego budulca żerował szkodliwy kornik, roznosząc zarazę na inne, żyjące jeszcze drzewa. Ale puszcza, przetrzebiona, zniszczona — przetrwała.

Żubrów było o wiele mniej. Prześladowane, zabijane, na pożywienie, w obronie życia przez żołnierzy, kłusowników. mieszkańców wsi puszczańskich — wyginęły wszystkie podczas lat wojennych.

I dziś kiedy na zniszczony, zrujnowany teren puszczy białowieskiej przyszło państwo polskie, by tu gospodarować i rządzić — zmienił się zupełnie układ stosunków między wielkim, szumiącym. dzikim lasem a jego malutkim mieszkańcem. To już nie człowiek musi się bronić przed puszczą, to ginąca puszcza potrzebuje obrony człowieka.

Straż leśna, opieka przyrodnika, znawcy musi teraz czuwać nad jesionem i świerkiem, nad jeleniem i lisem, musi otaczać drucianą siatką, ochraniać i karmić te cztery zabytkowe żubry, które tu sprowadzone z trudem nanowo. Park narodowy w puszczy białowieskiej, rezerwat. wspaniały zabytkowy las otacza



Zameczek myśliwski w Białowieży.

najtroskliwsza myśl opiekuńcza, broni od dotknięcia i najmniejszego uszczerbku surowe prawo.

Nie polujemy już na terenach puszczy białowieskiej. Obrona przed drzewem i drapieżnym zwierzem nie jest nam potrzebna. Podnieść gałązki, schwytać motyla, zerwać kwiat lub jagodę — nie wolno nikomu w rezerwacie.

Skrępowani i obezwładnieni w swej chciwości wchodzimy w zielony bujny pachnący gąszcz wspaniałych pni. w zarośla. krzewy, omszone wykroty pomiędzy czarne bajory, gdzie sarny migają. jak złoto — rude płomienie i ptaki dzwonią wysoko w gałęziach. Wychodzą ku nam z tych gąszczy czarne włochate. olbrzymie, ostatnie żubry puszczy.

Nikt tu na nie dziś nie poluje...

A jednak polujemy! Wysuwamy chciwie ku puszczy objektywy aparatów fotograficznych, szeroko otwarte oczy, czujne uszy, rozchylone nozdrza i usta.

Polujemy łakomie na wspaniałość widoku, na intensywność barw, na bujny zapach, na leśne odgłosy. na bogactwo niezapomnianych wrażeń.

Hanna Mortkowiczówna.

KĄCIK HARCERSKI

JUŻ CZAS.

W powietrzu coś się dzieje. Budzi się w nas jakaś radość. Ramiona się prężą. Czujemy dopływ niepohamowanej energji. To wiosna! Jeszcze chwila i wszystkie zastępy harcerskie wyrwą się z murów miejskich. Początkowo wycieczki będą parogodzinne, a potem coraz to dłuższe Wycieczka harcerska ma swój cel i łączy się z całością pracy skautowej. Praca ta zakreślona jest zgóry i wynika z zadań harcerstwa. Wycieczka, aby była dobra, musi być zorganizowana bez zarzutu. Kierownictwo powinno być sprężyste, prowiantura nie przypadkowa. W zadaniach wycieczki należy zamieszczać całokształt prac zastępu, a więc obozownictwo, samarytanizm, terenoznawstwo i t. d.

Jednak pamiętajmy, że technika harcerska jest nietylko celem, ale i środkiem do wcielania ideologji harcerskiej. Wszystkie wycieczki należy traktować, jako środek do wyrabiania zaradności, sprawności, pewności siebie. Wycieczki harcerskie zapoznają z pięknością kraju ojczystego, z zabytkami jego przeszłości, pomnikami, miejscami sławnemi z wypadków historycznych. z polami walk i odniesionych triumfów. Gdy harcerka przebiegnie wzdłuż i wszerz własną ziemię, zachowa wszystkie krajobrazy w pamięci, zaczerpnie pełną piersią powietrza z lasów i pól; wtedy zrozumie ona i odczuje należycie urok swojej ojczyzny.

Na wycieczkach uczy się młódź harcerska dostosowywać prawa natury do swoich potrzeb osobistych. Uczy się zaradności, zapoznaje się z pracą, hartuje duszę i ciało. Wieleż to razy przyzwyczajone do wygód domowych dziewczęta, borykają się z trudnościami, które nastręcza życie obozowe. Źle postawiony namiot nie pozwoli należycie wypocząć. Przypalona kasza, lub co jeszcze gorsze, okraszona piaskiem, naraża na głód. A więc nie wystarcza zamiar urządzania wycieczek. Należy przedewszystkiem nakreślić plan na cały sezon i opracować każdą wycieczkę.

Maj... już czas!

KARTA ŻAŁOBNA.

W szeregach działaczek harcerskich zabrakło jednej z dzielniejszych pracowniczek. Dnia 26 grudnia 1932 roku zmarła Dora Cieńska, która ostatnio znajdowała się na stanowisku Komendantki Chorągwi Pomorskiej.

Ruchliwa, energiczna, zawsze ofiarna, spełniała swój obowiązek. W Berdyczowie prowadziła tajną szkółkę polską i jednocześnie pracowała w „Kole Kobiet", podtrzymując ducha narodowego. W 1920 roku poświęca swój czas w Domu Żołnierza polskiego. Po ustąpieniu Wojsk Polskich, pozostaje w Berdyczowie i nadal pracuje w duchu narodowym. W 1922 r. przedostaje się do kraju i osiada w Grudziądzu. Zainteresowała się pracą harcerską, jest czynną w Kole Przyjaciół. W 1924 r. obejmuje Komendę Chorągwi Żeńskiej. Postawiła pracę tak, że należy uważać Ją za organizatorkę Chorągwi Pomorskiej.

ESPERANTO.

Ostatniemi czasy wzmogło się zainteresowanie w światowym skautyzmie esperantem, jako językiem, który może być środkiem zblizenia międzynarodowego.

M. Kostrzewa.

CZESZ SIĘ ŁADNIE






Dzisiejsza moda zrównała wszystkie kobiety— a zwłaszcza ich uczesania—wszystkie od dziesięciu do stu lat, mają jednakową ondulację a la Marlena. Jest to zabawny widok, a żałosne skutki — widok zabawny — bo trudno, żeby wszystkim szesnastoletnim, czy osiemnastoletnim twarzyczkom, okrągłym, albo bledziutkim, o nosku zadartym, albo prostym, dobrze było w uczesaniu, w którym jest dobrze jednej trzydziestoletniej kobiecie — a skutki żałosne, bo każde włosy, po ciągłej ondulacji żółkną, kruszą się i tracą zdolność do naturalnego falowania. Jest zupełnie zrozumiałe, że chcecie się czesać modnie, i że przy modnej sukience i kapelusiku, główka musi mieć także nowoczesną linję — i dlatego właśnie podajemy wam dzisiaj kilka uczesań, które zachowując typ uczesania „panieńskiego" nadają główce sylwetkę zupełnie „moderne", a przytem nie wymagają wcale ondulacji.

Uczesanie pierwsze odpowiednie jest dla buzi okrągłej i zadartego noska. Włosy obcięte są bardzo krótko i wyszczotkowane do połysku, z wyjątkiem pasma nad czołem, które przeciwnie, powinno być bardzo puszyste i tworzyć przez to ładne tło dla profilu. Wieczorowa odmiana tego uczesania: wstążeczka w kolorze sukienki zawiązana „na bakier" z poprzeczną sztywną kokardką. Na czoło zaczesane jedno małe pasemko gładkich włosów.

Uczesanie drugie, to włosy „odrastające", o długości, która sprawia najwięcej kłopotu. Uczesanie codzienne: włosy zebrane na jedną stronę (z drugiej strony zaczesane za ucho) związane są przy uchu płaską kokardką — uczesanie to przypomina modne obecnie czapeczki, i jest odpowiednie dla twarzyczki bardziej ściągłej. Na wieczór — girlandka z odpowiednich kwiatów, przytrzymuje włosy zczesane na jedną stronę i spuszczone wolno, bez ondulacji.

Uczesanie trzecie (długie włosy) przeznaczone jest dla twarzyczki o grubszych rysach. Włosy rozdzielone są pośrodku i zaplecione w dwa warkocze bardzo wysoko, tuż przy skroniach. Warkocze te opuszczone są nisko wzdłuż twarzy i spięte na karku w t. zw. ósemkę. Na wieczór — ósemka spięta jest z włosów niezaplecionych, a przez nią przewleczony jest kwiatek o długiej gałązce. (Bez, akacja).

Uczesanie czwarte wreszcie, przeznaczone jest do modnych kapelusików. Przy modnych kapelusikach, fason „canotier" dużo kłopotu sprawiają długie włosy, których jeden bok powinien być zaondulowany. Otóż tu radzimy sobie bez ondulacji. Włosy zczesujemy na czoło, i ze wszystkich pleciemy warkocz, poczynając od samego czoła. Zakładamy go potem na tę stronę głowy, która będzie pod kapelusikiem odkryta i z tyłu przypinamy spinką. Bez kapelusza, uczesanie to, wygląda zupełnie komicznie, ale po włożeniu go, kazuje się o wiele elegantsze, niż zwykła ondulacja. A więc teraz tylko za grzebień i do lusterka — nie wątpię, że każda z was znajdzie coś dla siebie — a może macie jakieś inne kłopoty ze swoim wyglądem?

Napiszcie o tem do nas — do Redakcji „Świata Dziewcząt" na nazwisko autorki na osobnej, załączonej do listu kartce.

Halina Kruger.






BRATNIE DUSZE

Lubimy książki i jesteśmy gadatliwe. Jeżeli znajdzie się jaka czytelniczka, która ma takie same upodobania niech napisze do

Hedwige et Madeleine.

I ja pragnęłabym wyszukać jakąś bratnią duszę. Przepadam za „Światem Dziewcząt" kinem i teatrem, książkami i sportem zwłaszcza konną jazdą i pływaniem. Lubię zwierzęta i kwiaty. Mam dwa bernardy Bari i Deri, oraz mały ogródek. Jestem strasznie wesoła i naprzemianę zła i dobra. Humor zmienia mi się szybko. Mam lat 12 z taką chęcią bym sobie 2 lata dodała. Chciałabym tylko schudnąć. Niestety! Jeślibyś chciała „Szarotko" ze mną korespondować to napisz mi Twoje upodobania.

Śniegułka.

Adres mój w redakcji.

Mam lat trzynaście. Mieszkam na wsi; uczę się w domu i przechodzę kurs V kl. gimn. Wieś bardzo kocham. Ogromnie lubię książki, muzykę, wszystkie zwierzęta, radjo.

Bardzo proszę, która z czytelniczek (najchętniej ze wsi), aby do mnie napisała pod adres: *Zochna Skoroszewska* majątek Lutynia, poczta Kotlin, powiat Krotoszyn, woj. Poznańskie.

Do „Bratnich Dusz"!

Mieszkam w dużym wiejskim dworze. Kocham tak bardzo nasze śliczne lasy, i wioskę, że nie wyobrażam sobie bez nich życia. Najmilszym moim sportem jest jazda konna, a zajęciem — łażenie po drzewach. Napewno do takiego łobuza jak ja, nikt nie napisze! Jeżeli jednak znajdzie się ktoś, co poczuje do mnie trochę sympatji, to nie napisze do *Wiochny.*

Bratnie Dusze!

Agni jest smutna, bo nie może chodzić do szkoły, musiała przerwać naukę. Mimo, że jest zdolna, a nauczycielki mówiły jej nawet, iż posiada talent literacki. „Chciałabym bardzo napisać do „Bratnich Dusz" (jestem taka sama), ale czyż znajdzie się ktoś, ktoby mi odpisał?" Przypuszczamy, że niejedna czytelniczka „Św. Dz." pocieszy długim listem smutną *Agni.*

Pisząc do działu „Bratnich duszyczek" pragnę przedewszystkiem przedstawić się. Nazywam się Helenka, mam lat 16, chodzę do 6 klasy.

Jestem zapaloną harcerką i nawet prowadzę zastęp dziewczynek „łazików". Moim znakiem szczególnym są długie popielate włosy, których żal mi obciąć, a tyle sprawiają mi kłopotu. Pozatem jestem dosyć energiczna, wesoła, trochę sentymentalna (ale broń Boże nie piszę wierszy). Lubię długie wycieczki piesze, jazdę na rowerze, motocyklu, podróżuję dużo autem; szczególniej w lecie, a nawet w wielkim sekrecie przed rodzicami umiem prowadzić auto. Lubię teatr, dobre filmy, książki, muzykę, piękno przyrody.

Pragnę korespondować z dziewczynką, najchętniej harcerką o tych samych zamiłowaniach która mieszka zagranicą, lub na wsi we dworze.

Adres mój znajduje się w redakcji. *Helenka.*

Chociaż mam dużo koleżanek chciałabym zawrzeć znajomość, z którąś z czytelniczek „Świata Dziewcząt". Lubię bardzo filmy, ciekawe książki, muzykę, lubię bardzo utwory Beethowena, Chopina, Strausa i miłe koleżanki. Gdyby była czytelniczka o podobnych upodobaniach prosiłabym ją, żeby do mnie napisała. Chciałabym koniecznie, żeby nasze pismo powiększyło się. Ja i moje koleżanki mamy nadzieję, że niedługo wszystkie dziewczęta Polski, będą czytać „Świat Dziewcząt". „Świat Dziewcząt" jest jedynem ciekawem pismem dla dziewcząt.

Amazonka.

ZA PROGIEM SZKOŁY

BASIA.

Pierwsze dni po wystąpieniu ze szkoły były naprawdę tragiczne.

Jeszcze póki ojciec nie powrócił z biura, nastrój był jaki taki: Basia siedziała w swoim pokoju, dłubała jakieś *richelieu* i medytowała, co teraz ze sobą zrobić. Szkoła handlowa — nie. Basia miała wstręt do rachunków, szkoła gospodarczo - przemysłowa — nie; Basia miała pogardę dla kuchni. Szkoła... szkoła.. szkoła... Nie wiadomo było na co się zdecydować ze swym zapasem 6-cio klasowej mądrości, z balastem — wykształcenia zawodowego. W każdym razie w ciszy miłego pokoiku medytacje przechodziły łatwo i nieomal przyjemnie. Dopiero gdy zgrzyt zamka zwiastował przybycie ojca na obiad, cała groza położenia stawała wyraźnie przed oczami.



państwowa żeńska szkoła fotograficzna.

Ojciec wchodził milcząc, milcząc zdejmował palto i milcząc zasiadał do obiadu. Atmosfera stawała się nie do zniesienia ciężka, a Basia łykając zupę razem ze łzami, przypominała sobie dawne czasy, kiedy obiady były takim miłym, jedynym w ciągu dnia momentem, w którym można było z ojcem porozmawiać, i opowiedzieć wszystkie ważne przeżyte w ciągu dnia sprawy.

Teraz, każde, nawet niefrasobliwe odezwanie się o pogodzie pociągało za sobą napewno groźną uwagę, że: „osoba, która nie chce zdawać matury, ma jednak czas, na obserwowanie pogody". A potem — co znaczy teraz brak nawet średniego wykształcenia, gdzie się z tem zajdzie.

Tak, Basia do spółki z matką przeforsowały to wystąpienie po skończeniu 6-ej klasy, a teraz znoszą konsekwencje tego szalonego kroku. Żebyż Basia chociaż wiedziała, co teraz ze sobą zrobić, czego się uczyć, wszystko by się jakoś ułożyło, ale właśnie nie wiedziała.

— Widzisz — mówiła matka — jak to źle nie wyrobić w sobie żadnych zainteresowań. Gdybyś się dawniej zastanawiała nad tem co lubisz, do czego masz największe zdolności i zamiłowanie, teraz nie miałabyś kłopotu z wyborem zawodu i nie naraziłabyś się na gniew ojca. bardzo się tem gryzie, co zrobić z tobą po wakacjach.

— Możeby tak coś z chemją albo z fizyką. Lubiłam te przedmioty, tylko znowu strasznie są suche.

— Z chemją, z fizyką — zafrasowała się mama — kiedyś „Świat Dziewcząt" pisał o laborantkach Nie odpowiadałoby ci to?

— Nnnie... Suche! Zawsze coś gotować, pitrasić, przelewać.

— To już nie wiem, moje dziecko, co Ci wymyśleć. Poczekaj, jak ojciec będzie w nieco lepszym nastroju, może coś poradzimy.

Na dobry humor ojca trzeba było jednak długo czekać. Wreszcie raz w niedzielę, gdy ojciec wypoczęty, s p o j r z a ł mniej ponurem okiem na świat, mama rozpoczęła sprawę dalszych losów Basi. Sama delikwentka przezornie usunęła się z pokoju, dopiero po jakimś czasie, zawołano ją ostentacyjnie, aby zapytać:

— Czy życzysz sobie uczyć się fotografji?

— Fotografji? Tak — wybuchnęła entuzjastycznie Basia, zadziwiona, że jej to wcześniej ine przyszło do głowy. Fotografja, to było naprawdę coś wymarzonego dla Basi, która oddawna uwielbiała swój maleńki i bądźmy szczerzy, zupełnie marny aparacik, usilując wszelkiemi sposobami wydobyć z niego coś możliwego.

— No więc przejrzyj sobie spisy odpowiednich szkół, i wypisz co trzeba — rzekł nieco łagodnie.



państwowa żeńska szkoła fotograficzna.

Basia czytała:

Warszawa, Górnośląska 31. Państwowa Szkoła Przemysłowa Żeńska. Był to jedyny odpowiedni adres jaki znalazła, gdyż po licznych poszukiwaniach, okazało się, że na terenie Polski istnieje tylko ta szkoła.

Gdy Basia po różnych telefonach i dopytywaniach dowiedziała się, że kurs w szkole fotograficznej trwa tylko 2 lata, oszalała z radości. Po 2-ch latach pracy, egzamin wydał się jej głupstwem. A potem praktyka. Ojciec rozchmurzył się również, skoro już wreszcie zapadła decyzja. Za pierwszy rok nauki trzeba było zapłacić 60 zł., za następne półrocze 60 zł., za materjały, i 45 zł. za naukę.

Głupstwem! [illegible]my szczególnie, skoro płyną z h o j n e j kieszeni o j c a), gdy po 2-ch, nie powiedzmy po 3 latach, dostanie się naprzykład posadę roentgenistki, a potem założy się (o marzenia!) własne atelier. Posada r o e n t g e n i s t k i, to znowu tradycyjne 300, może ze względu na kryzys 200 zł. Zato własne atelier, to już wiele, wiele pieniędzy. Basia uczy się, praktykuje i robi naprawdę piękne rzeczy i... czuje się artystką.

— To jest właśnie to, o czem marzyłam, nieświadomie marzyłam! — mówiła Basia, pokazując mi kiedyś wszystkie swoje fotograficzne arcydzieła. Taka jakaś rozsądna praca, przy której można okazać tyle, tyle, artystycznej inwencji. Jedynem mojem zmartwieniem obecnem jest to, że niewiadomo czy dostanę posadę po skończeniu. Tak ciężko jest ze wszystkiem.

— No, trzeba mieć nadzieję, że dasz sobie radę w życiu — odparłam na pociechę.

I oglądałam dalej te wszystkie, wywołane przez Basię na papier cudowności, myśląc, że to jest jednak prawdziwa sztuka.

Zofja Miszewska.



państwowa żeńska szkoła fotograficzna.

DOBRA KSIĄŻKA

W dawnych czasach typem książki podróżniczo- awanturniczej były np. Przygody Sindbada-żeglarza. Nie znaczy to, ze nadprzyrodzoność stanowiła najważniejszy element przygód. ale żeglarz był tym, któremu najbardziej ze wszystkich było wolno zachłystnąć się pachnącem powietrzem dalekich mórz i przeżyć tysiąc i jedną awanturę

Dziś sytuacja zmieniła się nieco: przygoda





Slocum.

przestała być przeżyciem niedostępnem i fantastycznem: kajaki. wędrówki z plecakiem, wycieczki przeróżne. zbliżyły jakoś przestrzeń do człowieka, to też i książka podróżnicza przestała być historją nieprawdziwego zdarzenia, a oparła się na realnych przeżyciach, dostępnych dla każdego. Nie znaczy to, że niezwykłość jest raz na zawsze wykreśloną z literatury podróżniczej. Są wyczyny, jeżeli mamy mówić stylem sportowym, które uderzają siłą zamachu.



J. C. Voss.



O takim czynie mówi książka J. C. Vossa, p. t. ***Lodzie żaglowe przez oceany*** — która, mając za treść zupełnie realne przeżycie, z drugiej strony zaczepia o bohaterstwo, i o to wszystko, co jest w duszy człowieka zbliżone do wielkości.

Wątek awanturniczy jest naprawdę niezwykły: poszukiwanie zaginionych skarbów, wędrówki poprzez dalekie morza. gościny u „dzikich" i u „cywilizowanych", oraz bohatersko przetrwane burze na wątłej żaglówce, oto perypetje autora i uczestnika wyprawy, pełne napięcia i niepokoju. Książka jest przytem pisana stylem lekkim i malowniczym, który jest niekiedy doskonałą pointą naciągniętych sytuacyj.

Książka — *Lodzią żaglową przez oceany* —





Gerbault.

jest jedną z cyklu: Samotni żeglarze naokoło Świata — którego dalsze części brzmią — *Żaglowcem naokoło Świata* — oraz — Gerbaulta — *W pogoni za słońcem* — i *W powrotnej drodze*.

NASZE SEMINARJUM

Hallo! *Chickie!* — „Obgadajmy" twoją twórczość! Coś Ci powiem — twoja proza, o której wnioskuję z listu, pełnego życia i werwy, lepiej mi się podoba od wierszy. W prozie dałoś dobrze naszkicowaną sylwetkę — „ujęłaś" charakterystykę w jędrne, dorzeczne słowa. Dlatego sądzę, ze powinnaś spróbować napisać coś prozą. Wiersze są jeszcze b. niewyrobione. Poprostu brak Ci techniki ich pisania tak dalece, że trudno z nadesłanych wierszy wnioskować o Twych zdolnościach poetyckich. Musisz zupełnie opanować materjał słowny, zasady rymowania i rytmikę, a potem, gdy to zrobisz, — napiszesz znowu wiersz (jeśli masz istotne zdolności, to pokonywanie trudności z pewnością Cię nie zniechęci!). A wtedy okaże się, czy *Chickie* jest poetką. Przystąpmy więc do roboty i zastanówmy się nad twemi poetyckiemi grzechami — *Chickie*. To pierwszy krok do poprawy. Wiersz nazwałaś „Hart ducha". A więc jest to wiersz refleksyjny. Czego od takiego wiersza wymagamy. Chcemy takim wierszem się wzruszyć, przeżyć te same wrażenia, które przeżywał piszący. Aby to przedziwne zjawisko wspólnoty wrażeń piszącego i czytającego miało miejsce wiersz musi nas: 1) zastanowić myślą przewodnią, 2) zaczarować obrazem, 3) wprowadzić w nastrój całości muzyką (rymem i rytmem).

Czy zachowałaś te trzy kanony w „harcie ducha" — *Chickie?* Myśl przewodnia — w tym wierszu jest mętna. Nie wiemy, co, jak i dlaczego. Bywa wprawdzie smutek „bez przyczyny", ale w taki dziwny, smętny stan wprowadza nas zawsze jakiś *nastrój*. (Muzyka, oświetlenie, widok i t. p.). W Twoim wierszu brak *wprowadzenia*. Niema tego obrazu, który tłomaczy Twój (zresztą chwilowy) „spleen". Zaczynasz wiersz poprostu, pisząc epicko nie lirycznie — „Smutno mi, ale czemu?". — To jest niezręczność, nielogika artystyczna. A nawet najbardziej „zwarjowany" wiersz musi na czemś „stać". Nie koniecznie na logice faktów, ale koniecznie na logice nastroju. Nie można bez sensu skakać w nastroje — to na wesoło — to na smutno. Jeden ton w muzyce pociąga drugi. W wierszu nastrój pociąga nastrój. Inaczej wypadnie nieartystyczna szarpanina. Jesteś wesoła, żywa — to dobrze. Dla pisarki są to piękne atuty do wygrania. Ale trzeba i tu sobą władać. Pęd zdolności jest wielki. Ale nawet w pędzie trzeba biec przed siebie, a nie taczać się od ściany do ściany. Tyle co do nastawienia „myśli" w Twem wierszu.

Obrazów dajesz dużo, ale są one nieskoordynowane. — Poszarpane. Tu to — to tam coraz coś innego. Niema artystycznych przejść. „Iskra" i „pustynia" — „Serce". „Pustynia w sercu". (Co za serce olbrzymie!). A potem serce szuka na pustyni (znowu! Chyba na jakiejś drugiej, nie tej, która w niem siedzi) — „serca, kwiatu". Coś tu jest niejasne. Prawda? I to bardzo. Pozatem — błagam! — *Chickie!* — nie pisz „ogrom boleści", „płacz niewieści", „zgasła iskierka". „hart ducha" i t. d. Są to skojarzenia słowne, tak ograne, że nic już nie mówią czytającemu. Unikaj ich — dawaj przydawki rzeczowne i przymiotne (tak: gramatyka stoi blisko poezji!), które w sąsiedztwie określanych rzeczowników, dają kompleks słów, o wartości optycznej lub nastrojowej. A takiej wartości ograne, osłuchane połączenia nie mają. Przemyśl każdy wiersz dokładnie po napisaniu. Potem *przeczytaj* i to przeczytaj tak, jakbyś *nie ty* pisała. Stań się czytelnikiem swego wiersza i z jego punktu widzenia, wiersz skrytykuj. Co ten wiersz daje wrażliwości artystycznej czytelnika? Czy w nim są obrazy cudem jakimś zjawiające się w oczach przy dźwięku słów, czy same tylko puste dźwięki. W drugim wypadku musisz powiedzieć sobie, że nie napisałaś plastycznie. że Twoje zdania składają się z członów (znów Gramatyka!), które nie mają wartości optycznej — lub, że te wartości tak już są wyzyskane przez tysiące ludzi piszących, że nie budzą echa w wrażliwości czytelnika.

A teraz ostatnia sprawa: sprawa muzykalności wiersza. — Muszę Ci powiedzieć, że rymy Twoje niezawsze są rymami. Ale nie są i muzykalnym asonansem (rymem niezupełnym). Dlaczego rymujesz „rozkwicie" i „nadziei"? — A ostatnia strofka, czy Cię nie razi?

„Hart ducha ten cud sprawił (rym I)
Hart, który przez życie (rym II)
całuśkie rządził duchem (rym III)
a pan błogosławił" (rym I)

Prawda, że to niebardzo poetyckie? Coś w „uchu" przeszkadza, żeby to uznać za ładne? I — zupełnie niejasno z tym hartem. Skoro „całutkie życie rządził duchem" — to chyba nie trzeba było go szukać na „pustyni". — Oj Chickie! Ty roztrzepańcze kochany! No i nie wolno w XX-tym wieku (o ile się ma pretensję do poezji) rymować: „świeci" — „leci". „Przecie — świecie", „boleści — niewieści" i znów „przecie — świecie"! Tyle ładnych kombinacyj kryje się w sztuce rymotwórczej! Ale odkryć je można tylko — chroniąc się od „osłyszanych", „opisanych" rymów, a wsłuchując się i wczytując w zdrowe, piękne wiersze naszych uznanych, choć na szkolnej ławie przeklinanych sław pióra polskiego.

A teraz Chickie — nie gniewaj się za przyjacielskie rady redakcji, która też się napociła na ławach szkoły i uniwersytetu i, pisz do nas często i nadsyłaj swoje utwory. Czy nie jesteś zła, żeśmy Cię zabrały do „Seminarjum". Serdecznie Cię pozdrawia

„Świat Dziewcząt".

KUPON Nr. 1

I Konkursu literackiego

„ŚWIATA DZIEWCZĄT"

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

KTO TO ROZWIĄŻE ?

ROZWIĄZANIE ZADAŃ Z NR. 3.

10. UZUPEŁNIANKA.

O	D	**G**	**Ł**	O	S
S	Ł	**U**	**P**	E	K
Ś	L	**I**	**M**	A	K
R	O	**Z**	**W**	Ó	J
T	R	**Y**	**K**	O	T
P	A	**L**	**E**	T	A
K	I	**S**	**Z**	K	A
K	A	**C**	**Z**	K	A
P	I	**Ę**	**Ś**	C	I
Ł	A	**C**	**I**	N	A
R	Z	**E**	**S**	Z	A
P	O	**P**	**R**	A	D
W	I	**Z**	**Y**	T	A
P	O	**J**	**A**	Z	D

11. PERÓWKA.

P	D	F	R	S	A	L
A	**O**	A	E	O	K	A
R	K	**L**	F	L	W	T
A	O	I	**O**	A	A	A
S	N	S	R	**N**	K	R
O	A	T	M	K	**I**	K
L	Ć	A	A	A	S	**A**

Nagrody wylosowali:

1. *p. Marja Frankiewiczówna* z Chełmna. 2. *p. H. Łossowska* Z Kalisza. 3. *p. Irka Rozwadowska* z Bydgoszczy.

12. KRZYŻÓWKA SYLABOWA.

			LE			
		KO	TA	RA		
	MA	PA	■	SA	LA	
	RO	■	WA	■	BA	
RA	■	KO	LI	BA	■	NO
BA	TO	RY	■	LY	MO	WE
TA	■	TO	PO	LE	■	LA
	DA	■	RY	■	LI	
	MA	RA	■	KA	MA	
		TA	MA	RA		
			SA			

Trafne rozwiązania zadań z Nr. 3 „Świata Dziewcząt" nadesłai.l

Bydgoszcz: Rozwadowska Irka. *Chełmno:* Frankiewiczówna Marja. *Chocznia:* Muzykarzówna Aldona. *Cieeszyn:* Jasicka Zdzisia. *Gołków:* Orzeszko Halina. *Kalisz:* Łossowska H. *Kielce:* Jędruchowa Marta. *Końskie:* Piekarska Zofja. *Kotlin:* Skoroszewska Zochna. *Kraków:* Birczyńska Zosia, Nowotarska Romcia. *Lwów:* Łesiukówna Anna, Wozaczyńska Marja. *Myślenice:* Nowakówna Felicja. *Nowy Sącz:* Barbacka Olga. *Poznań:* Stradzianka Jadzia. *Tarnów:* Podsońska Renata. *Warszawa:* Gurtler Iga, Koszutowska Halina. Słowikówna Wanda, Wiśniewski Franciszek, Wiśniewski Kazimiera. *Zawiercie:* Dmochówna Tekla, Wałek Zygmunt.

Można się uśmiać!..

OSZCZĘDNOŚĆ.

– Jasiu, dziś przyjdzie nowa nauczycielka muzyki. Czyś umył twarz?

— Tak, mamusiu...

— A ręce?

– Tak, mamusiu...

— A uszy?

— Tak, mamusiu... To od strony nauczycielki.

DZIWNE JABŁKO.

-- Miałeś, synku, dać połowę jabłuszka Irce, a ja widzę, że zjadłeś całe.

— Bo, mamusiu, jabłuszko było takie maleńkie, że wcale połowy nie miało...

COŚ Z FIZYKI.

- Dlaczego rtęć się podnosi, gdy wstawimy termometr do gorącej wody?

- Bo na dole robi się jej za gorąco...

PRZESADNA UPRZEJMOŚĆ.

Stojącemu na łące człowiekowi wiatr strąca z głowy kapelusz i unosi kawałek drogi. Traf zdarza, że w tej chwili nadlatuje samolot i ląduje niedaleko miejsca, gdzie upadł kapelusz.

— Ależ, czemu się pan trudzi — woła pan, który zgubił kapelusz do lotnika. — Przecież ja byłbym go sobie sam podniósł.

W SZKOLE.

— Gąsienica zjada dziennie trzy razy tyle, ile sama waży...

— Panie profesorze, a skąd ona wie, ile waży?

SIOSTRA.

W parku rozmawia dwóch chłopców:

— Ty masz siostrę?

— Mam. A ty?

— Nie...

— No to kogo bijesz?

ZGODNY KLIENT.

O trzeciej w nocy jakiś pan dobija się do apteki. W końcu aptekarz budzi się i zaspany wpuszcza klienta do środku.

— Czego pan sobie życzy?

— Prosiłbym o pudeleczko wazeliny.

— To o to pan się dobijał?! — woła wściekły aptekarz. — Nie mógł pan przyjść jutro rano?!

— Hm... ma pan rację —godzi się uprzejmie klient. — To ja przyjdę jutro rano...

WASZA STRONICA

WYCIECZKA DO MUZEUM

Aniclice zbierajcie manatki, bryki, liściki etc. bomba, bo maszerujemy z „Złota Blondyneczką" do muzeum. Z takim dzikim okrzykiem, rozdzierającym chmury, wpada jedna z naszych dziewic, dowiedziawszy się o zamierzonej wycieczce. W klasie krzyk okropny. Gdyby kto nie wiedział, myślałby, że to kandydatki do Tworek lub Dziekanki. Rozbijamy się po całej „budzie" aby zdobyć 20 gr. i pomaszerować do „mauzolei", tuląc do siebie całą pakę liścików, fotografij i t. d. Idziemy powoli, jak za orszakiem pogrzebowym, ażeby stracić jak najwięcej czasu. Na rynku napadamy przekupki, pytając po ile ser, masło, jaja. Gapie wywracają na nas gały, ale my nie tracimy animuszu i stajemy przed wystawą z rurami wodociągowemi, udając zachwyt. Naturalnie wybieramy takie ulice, które przypadają nam najwięcej do gustu jak Gdańska, Mostowa i Stary Rynek.

Nareszcie wpadamy do muzeum. Kilka udaje ogromne zainteresowanie wystawą, podczas gdy reszta uchwala jakiś wypadek, któryby przedłużył nasz pobyt w „mauzolei". Jedna z rozdzierającym okrzykiem pada.

Mdleje, doktora (młodego!) wody! „Złota Blondynka" (profesorka) wpada z przerażonemi oczyma i chwyta „mdlejącą" za puls, ale ona rzuca się, jak w konwulsjach i „Blondynka" woła: „Proszę się nie kręcić, bo nie mogę zbadać pulsu". „Blondynka" twierdzi, że puls jest przyspieszony, więc cała zgraja pędzi do apteki, ciągnąc biedną ofiarę dławiącą się od śmiechu. Wpada nas 10 i... nie wiemy co kupić.

„Dzidzia" zaczyna: Poproszę pana, proszę coś na ból żołądka... może „Kogutka"?

Aptekarz patrzy na nas wzrokiem osłupiałym, a stojący obok policjant podejrzliwym. Wobec głupiego położenia wypadało się wynieść, więc każda chce został z „mdlejącą". Poprostu biją się o nią. Najwięcej cierpi „mdlejąca", która z czapką na bakier przy swojej wykrzywionej twarzy, wygląda jak „kotrościup" na urlopie. Zbliża się „Blondynka" i widząc nieszczęśliwą Geniutę, każe ją odnieść do domu. Chowamy się za domy i zobaczywszy, że Profesorka poszła, wpadamy do jakiejś bramy i śmiejemy się do rozpuku. „Mdlejąca" nagle uzdrowiona drze się najgłośniej, proponując wycieczkę na Gdańską. Pędzimy ruchem niejednostajnie przyśpieszonym, śmiejąc się z konceptu. Lecz niestety pogubiłyśmy się po drodze i nie wiemy co robić. W końcu wpadamy do budy, lecz tu nagle zjawia się przed nami „Cioteczka". Trudna rada, trzeba wchodzić do klasy. Utynkowałyśmy jeszcze raz na biało naszego truposza i pakujemy się do klasy z minami uroczystemi. „Cioteczka" patrzy na nas zdziwiona i pyta co to znaczy, że już trzecia paczka wraca powołując się na opiekę nad chorą. Pierwsze powiedziały, że ją zostawiły na ulicy; drugie, że odniosły ją do domu, a my ją przyprowadzamy. Koniec był taki, że zostałyśmy zapisane do księgi lez, a co gorsza musiałyśmy się nauczyć napamięć wiersza niemieckiego. Oj, zawsze to tak bywa, że miłe złego początku, lecz koniec żałosny.

Janka — Kiku.

Warunki prenumeraty: rocznie — zł. 10.—; półrocznie – zł. 5.— kwartalnie — zł. 2.60; miesięcznie — zł. 1.—.
Cena ogłoszeń: strona dzieli się na 4 łamy Szerokość 1 łamu 54 mm 1 mm w łamie 60 gr. Cała strona 720.— zł.

Redaktorki: Hanna Januszewska-Moszyńska i Wanda Borudzka. Wydawca: Tow. Wyd. „BLUSZCZ"

Redakcja i Administracja Solec 87, tel. 244-18 i 787-08. Konto P. K. O. Nr. 18.800
Redaktorki przyjmują w poniedziałki i środy od godz. 11 do 13.

Zakłady Graficzne Tow. Wyd. „Bluszcz", Warszawa, Solec 87. Tel. 787-03.